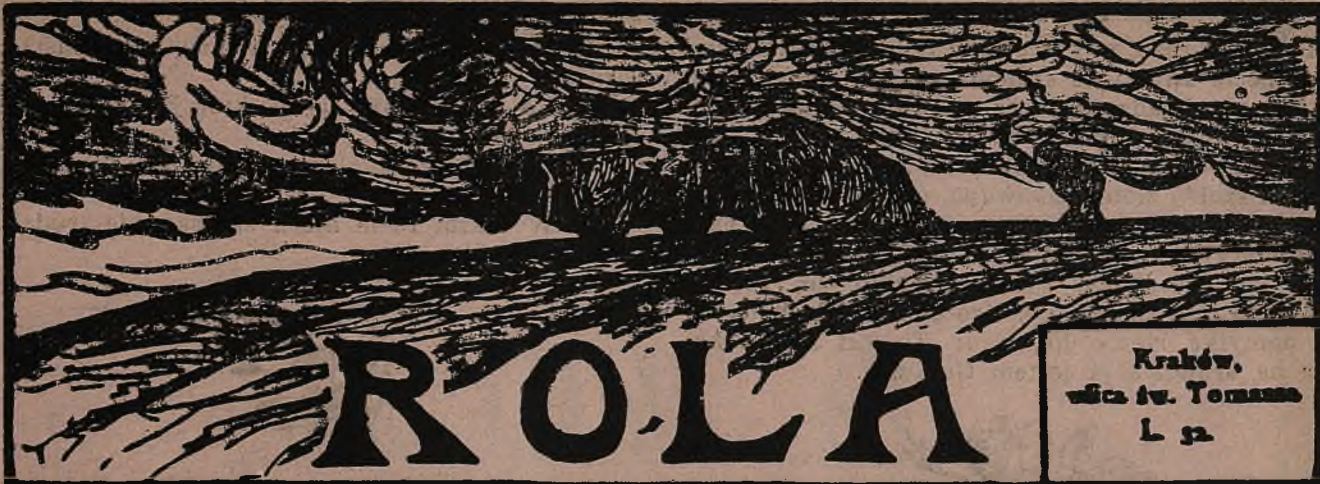
Numer 49. Nał. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 7 Grudnia 1930**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.

Poprawił go.

Pewnego razu, gdy król Jan Sobieski rozmawiał w gabinecie swoim ze szlachcicem, co się nazywał Gomuła, wprowadzono przez podwoje jednego z posłów zagranicznych. Ponieważ król ubrany był skromnie, a Gomuła miał kontusz, żupan i pas świąteczny, i szablę złotem okowaną, ów poseł, który nigdy jeszcze króla Sobieskiego nie widział, a na okazałość ubioru uważał, wziął Gomułę za króla i zwróciwszy się do niego z niskim ukłonem, rzecze: „Sir!...“ co tyle znaczy, co: Królu! Ale szlachcic widząc pomyłkę, rzecze do niego: „To jest Ser (wskazując na króla), a ja jestem Gomuła“.

Zawsze to samo.

— Czegoś taki smutny, kiedym ci zapłacił rachunek? Inaczej tobyś się mógł obawiać, że majster cię ze złości wygrzmoci, ale tam?

— A bo to tak, proszę pana, jak majstrowi nie przyniosę pieniędzy, to mię ze złości wygrzmoci, a jak mu przyniosę, to z radości upije się, a wtedy mnie także wygrzmoci.

W szkole.

N a u c z y c i e l: Jasiu, opisz mi gęś. Macie wy gęsi?

J a ś: Gęsi nie mamy, jeno gąsiora.

N a u c z y c i e l: A jak on wygląda?

J a ś: On wcale nie wygląda, bo go zawarli do chlewika, a tatulek wszystkie dziury pozatykali, coby nie wyglądał, bo go matuś karmią.

W gospodzie.

Gość po zjedzeniu kolacji mówi do właściciela gospody:

— Co pan robisz z tymi, którzy nie zapłacą za zjedzone potrawy?

— Cóż mam robić! wyrzucam ich poprostu za drzwi.

— W takim razie niech się pan nie trudzi; ja już sam wyjdę.

Na jarmarku.

— Ej Mośku! sprzedaliście mi takiego konia, co wcale nie chce żryć.

— Ny, o co wam chodzi, Michale, na dzisiejsze czasy to właśnie taki koń jest najlepszy.

Wet za wet.

— Jak można mieć taki długi nos! Miałem pana dlatego zawsze za żyda, a jednak pan nim wcale nie jesteś.

— No widzi pan, jak można się mylić! Ja pana z powodu dużych uszów zawsze miałem za osła, a jednak pan nim nie jesteś.

Delikatność.

— Może mnie pan obdarzy jakiem starem ubraniem, bo w tych łachmanach to mnie aż wstyd żebrać.

Numer 49. Rok XIII. Kraków, dnia 7 grudnia 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Święty Mikołaj.

Jednem z najbardziej oczekiwanych świąt w roku jest uroczystość św. Mikołaja. Wprawdzie dzień ten nie jest wolny od pracy, nie jest przeznaczony na odpoczynek, a przecież czekają go starzy, czekają i młodzi niczem jakiego wielkiego święta, w którem po kościołach odprawiają się uroczyste nabożeństwa. Święto św. Mikołaja jest niejako świętem domowem, świętem rodzinnem, a powiedzielibyśmy świętem ogniska domowego. W dniu tym radują się młodzi, radują i starzy. Jedni i drudzy zapominają o troskach codziennych, a cieszą się chwilą obecną, jaką im dzień ten przynosi. A do tej radości nie trzeba zbyt wiele. Oto Kasi święty Mikołaj przyniósł ładną laleczkę, a Jasiowi konika, czasem nawet tylko o trzech nogach, ale Jaś nóg nie liczy, ale raduje się, boć to podarek od świętego Mikołaja. I nie rozchodzi się dziatwie naszej o wartość pieniężną tego podarku, ale raduje się, że w dniu tym święty Mikołaj i o niej nie zapomniał.

A nietylko dzieci radują się w dniu św. Mikołaja, bo i starsi niejednokrotnie na dzień ten przemieniają się w duże dzieci i zaglądają pod poduszkę, czy też i o nich św. Mikołaj nie pomyślał. I często zdarza się tak, że św. Mikołaj o takiem dużem dziecku jeszcze lepiej pamiętał, aniżeli o małym bachorze. Bo oto pod poduszką ośmnastoletniej, trzydziestoletniej, a nawet i pięćdziesięcioletniej Marysi, Maryśki, czy Maryny znaleźć w dniu tym można pod poduszką czy to parę metrów materji na sukienkę, czy jaki inny podarunek, a niejednokrotnie i słodyczy ile, tyle. A również i Jasiu, Janek czy Jan w dniu tym z radością znajduje pod swoją poduszką to kapciuszek z tytoniem, to papierośnicę, to inną jakąś rzecz, której możeby sobie sam nie kupił, a która sprawia mu taką przyjemność.

Cieszą się w dniu tym starzy i młodzi, cieszą szczęściem własnem i szczęściem swych najbliższych, niejednokrotnie nie wiedząc, dlaczego właśnie w dniu tym otrzymują tak liczne podarunki.

Powodu należy szukać w życiu tego wielkiego świętego biskupa. Oto kiedy jeszcze żył na ziemi, miłował on nadzwyczajnie dziatwę i często ją obdarzał. Wychodząc na przechadzkę, brał zawsze ze sobą łakocie i obdzielał niemi napotykane dzieci, nie skąpiąc im i innych podarunków. To też dziatwa miasta Mery, w Azji Mniejszej, gdzie święty był biskupem, codziennie oczekiwała zjawienia się jego na ulicy, bo była pewną, że zawsze jakiś podarek od niego otrzyma. Kochał dziatwę i był przez nią kochany tembardziej, że już za życia swego zdziałał kilka cudów, których liczba po jego śmierci jeszcze bardziej wzrosła. Dziatwa miasta Mery, dowiedziawszy się o śmierci swego Dobroczyńcy i Opiekuna, nie posiadała się z żalu. Rodzice tej dziatwy zapewniali mały drobiazg, że święty mąż po śmierci swej o niej nie zapomnni, a chcąc pamięć tę uwidocznić, obdarzali ją w dniu śmierci św. Mikołaja. Zwyczaj ten z miasta Mery rozszerzał się coraz bardziej po całym świecie i dotrwał do naszych czasów.

Opowiadają stare kroniki, że w pewnem miasteczku na Mazowszu żyła przed stukilkudziesięciu laty jedna niewiasta, mająca własną trzyletnią córeczkę i sześcioletnią pasierbicę. I jak zwykle macochy, córkę swoją kochała bardzo, lecz dla pasierbicy nie miała ani trochy serca. Kiedy przyszła noc św. Mikołaja, pod poduszkę swej córki nawkładała przeróżnych smakołyków i innych podarków, zaś pod poduszkę pasierbicy, chcąc ją w dniu tym upokorzyć, włożyła kilka kamieni. Kiedy nad ranem dzieci się pobudziły i sięgnęły pod poduszkę, zoba-

czyły ze zdziwieniem, że pasierbica miała tam zabawki przecudnej piękności, zaś wszystkie podarki córki owej niedobrej macochy skamieniały i stały się nie do użycia. Poznała w tem niedobra macocha palec Boży, poprawiła się i odtąd obydwie dziewczęta miłowała narówni.



WŁAD. DUNAROWSKI (WOSNAK).

Zwierciadło na dachu.

(Nowela).

Odtąd, jak dawniej, nosiła jajka do żyda, wymieniając na różne szmaty dla dziewcząt i siebie. Czasem przyniosła w dodatku paczkę przedniego tytoniu. Dla „starego".

Jantek powoli wracał do zdrowia. Ataki stawały się coraz rzadsze. W drugim roku choroby miał ich kilkanaście, w trzecim — kilka. Tylko w okresie napadu i jakiś tydzień potem miał mowę trochę nienormalną, potem znów wracał do równowagi umysłu.

— No, to najgorsze minęło! — mawiali bliżsi i dalsi przy spotkaniu.

Lecz Dumin zdawał się temu nie dowierzać. Nie nazewnątrz, bynajmniej, lecz w skrytości swego ducha. Bo do obcych głośno się chwalił:

— Dzięki Bogu! Jeden kłopot mniej! Najcięższa strapa zeszła z głowy.

Natomiast sam do siebie inaczej mówił. Jakby coś czuł, przeczuwał... Niby nic — a jednak nie mógł znaleźć spokoju w widoku rekonwalescenta. Unikał go. A może unikali się wzajemnie. Ojciec jednakże nic o tem nie wiedział. Bliżej siebie byli tylko przy jedzeniu. Lecz i tu, obyczajem wsi, dary boże spożywali w milczeniu, nie oglądając się na nic, ani na nikogo. Niema zresztą czasu, robota czeka.

W takiej atmosferze schodził dzień za dniem, miesiąc za miesiącem.

Jednej niedzieli zmówił się Jantek przed kościołem z innymi chłopakami o Ameryce. Właśnie niektórzy z nich wybierali się do Kanady.

— Jedź z nami!

Jantkowi zatliły się źrenice. Zauważyli to niektórzy i jęli namawiać.

— Co ci z tego, że tu będziesz siedział i ojcu pomagał? Głowę tylko możesz stracić do reszty, ale nic więcej. Gruntu nie dostaniesz — to se wiedz. Zaś wszystko inne — fraha. W Kanadzie robota idzie, zarobki niezłe; możnaby się czegoś dochrapać. Toć chyba wiesz, co pisze Filip Zadąbczak. Każdy przyzna, że głupotą jest dłuższe tutaj siedzenie... Niektórzy jadą do Argentyny. Ja jednak myślę: co Kanada — to Kanada. Samo to coś znaczy, że bliżej prawdziwej Ameryki.

Pod urokiem tych słów chodził Jantek parę tygodni. Zamknął się w sobie, że trudno było co z niego wydobyć. Duminka myślała, że nowy atak nadchodzi. Nie mniej byłoby ją to przeraziło od słów, które ni stąd ni zowąd spadły na jej kark pochyły.

— Jadę do Kanady!

Ojciec dziwnie milczał, matka lamentowała. Wreszcie Dumin kazał jej być cicho.

Ucichła, lecz nie na długo. Nie mogła tego w sobie wstrzymać — daremnie. Nie dziwota: przecież tu chodzi o dziecko rodzone, a nie byle jaką rzecz. Gdy tylko mąż się wychynął na wieczorne próby, zaczęła molestować Jantka niemal ze łzami.

— Nie jedź, Jantuś, usłuchaj! Jeszcześ z choroby dobrze nie wyszedł, a już czegoś ci się zachciewa. Różne biedoty niech jadą na złamanie karku, ale ty bez tego się obejdziesz. Co ci po tem? Czego ci tu brak?

Chłopak milczał na zawzięte. W uszach mu dzwoniły ostatnie wyrazy: „Czego ci tu brak?" — Żeby on to wiedział, czego mu brak! Czegoś.

— Gwałtem trzymać cię nikt nie będzie, ale się opamiętaj. Mnie, jak widzisz, coś ciągnie ku ziemi... lata... zgryz... i to wszystko, o czem ty nie wiesz.

Chciał krzyknąć: Wiem! — ale się powstrzymał.

Mnie niedługo. Tyś najstarszy z dziecek — tu ci się patrzy być. Ale cię nie trzymam... nie myśl sobie; mówię ci tylko po matczynemu. Ojciec... jak ojciec — sam widzisz. Niczego po nim nie można wymiarkować; raz taki, to znów taki... Trza ustąpić — najlepszy ratunek. Ale i on nie wieczny...

Jantkowi wilgotniały oczy. Odwrócił się ku ścianie i... milczał. Zaś matka mówiła dalej coraz bardziej łamliwym głosem. Już nie rozumiał słów, ale z głosu wyczytywał treść najprostszą w swej szczerości.

Byłby ustąpił. Wszystko, co matka mówi — święta prawda. W rezonansie to samo powtarza mu serce. Serce zranione.

Nieoględnie, w wiośnianym wyścigu po słońce, zachaczyło o jakąś grań wyniosłą, zahaczyło boleśnie i zaczęło krwawić. Rana otwarta. Teraz trzeba czasu, trzeba ożywczego tchnienia powietrza. Powietrza dalekich lądów, mórz i rzek. Innego nieba

i słońca. Innych spojrzeń i innych dźwięków mowy. Czegoś — co w jego mowie nie znajduje wyrażenia, ni odblasku podobieństwa. Wierzy, iż to wszystko znalazłby, gdyby mógł pojechać wraz z innymi.

Lecz matka... Jej słowa rozkuwające wysoką skalę zamierzań... Szkoda matki. Szkoda jej słów gorących. Gorąc pada na chłód. Chłód skwierczy, pryska, rozlatuje się na drobiazgi, ginące gdzieś bez czucia i myśli. Gdy wszystkie rozprysną się, przed matką zostanie tylko cień bez duszy i woli.

Jantek byłby ustąpił w pierwszej chwili. Gdyby ktoś stanowczo zażądał, możeby się nawet zrzekł całkowicie myśli o wyjeździe. Lecz po upływie paru dni wracało to poprzednie postanowienie. Słowa matki traciły na sile. Stawały się mdłe i przykre. Przyjemniejsze były wieści ojca, odnoszące się do Kanady. Niewiadomo tylko, skąd je czerpał. W tygodniowych gazetkach oprócz politycznych obszczekiwań, bardzo nędznych „rad gospodarskich" i najnędzniejszej powieści — nic więcej nie było. Kanada? — nic podobnego.

Dumin jednakże miał spory zasób wiadomości o emigracji do tego kraju — a wszystkie przeważnie dodatnie. Duminka nieruchomiała przy nalepie ze zdumienia. Chciała coś powiedzieć, o coś zapytać, lecz słowa te, które miała na myśli, stawały się dziwnie rogate, skoro zbliżały się do krtani. Nie mówiła nic. Czuła, że jest bezradną, opuszczoną istotą na świecie.

Nie pierwszy to raz — i nie ostatni tak się czuła.

Po odjeździe Jantka jakby się coś w niej oberwało. Jakby jakiś dzwon spadł z wieży, roztrzaskał się i umilkł na zawsze. Chciała płakać — oczywista po kryjomu, — ale przekonała się wnet, że łzy wyczerpywały się w niej do cna.

Dumin tymczasem sumował koszta, wyłożone na wyjazd syna. Trochę grosza miał z wołów, sprzedanych na wiosnę, resztę dopożyczył w dolarach. Przy tych obliczeniach spozierał czasem z ukosa na nowy dach, na którym ślizgały się gołębie. Biedactwa, przyzwyczajone do obsiadywania dawniejszej strzechy, były bardzo zdziwione, dlaczego nie mogą się teraz utrzymać na tej samej pochyłości.

Dumin uśmiechał się nieszczerze.

— Pazury sobie połamią...

Wnet spospępniał.

Co to z tego? Tyle rzeczy ogromnych natworzą ludzie po świecie, tyle pałaców nabudują, tyle mostów — niemal nad całemi morzami narozciągają, tyle dróg kamienistych wygładzą i żelazem obsypią ku wszelakiej ludzkiej wygodzie, że od samego pomyślenia o tem w oczach się ćmi...

Co z tego?

Szczęścia jak nie było — tak niema. Zawsze ludziskom czegoś brak, zawsze tęsknią i zawsze płaczą. Jak pożerali się dawniej, tak czynią to po dziś dzień.

Biedni , nieszczęśni, wyklęci.

Tworzą, budują — ale nie na glebie swych najistotniejszych wartości ducha; wygładzają szlaki świata — a swych uczuć i porywów serca wygładzić nie mogą; kolosami betonów lub na powietrznych śmigach motoru wzbijają się ku słońcu — a myśli swych zmurszałych nie odważą się dźwignąć pod stopy słoneczne: na wzgórza najtrwalszej radości!.. Fale eteru najdalsze i najdziksze lądy łączą ze sobą — a między ludźmi przepaść jak była, tak jest — niewyrównana.

(Dok. nastąpi).

Dziwny przypadek.

W stylowym gabinecie znanego potentata giełdowego bankiera Edwarda Z., cisza przerywana tylko miarowem tik-tak, stojącego na kominku zegara lub szelestem przerzucanych papierów. Cały pokój tonął w półmroku, tylko biurko pozostawało w jasnym kręgu światła, stojącej na nim lampy. Przy biurku siedział starszy, łysy mężczyzna o twarzy tłustej, jakby nalanej, zajęty przeglądaniem poważnych ksiąg handlowych, w których notował jakieś cyfry, lub odnośne uwagi.

— No, na dziś już dosyć — mruknął odrzucając z hałasem pióro i prostując się z wyrazem ulgi. Był dziś czegoś znużony. Do klubu iść mu się nie chciało. Przez chwilę namyślał się nawet, czyby nie podążyć ze żoną do teatru, ale rzuciwszy okiem na zegar przekonał się, że byłoby już nieco zapóźno. Zagłębiwszy się więc wygodnie w fotelu, oddał się słodkiej bezczynności. Przebiegając myślą wszystkie czynności ubiegłego dnia, uderzył się ręką w czoło:

— Byłbym zapomniał, hm — i z bocznej kieszeni wyciągnął dość duże eleganckie etui, w którem na podkładzie z czarnego pluszu spoczywał sznur olbrzymich pereł o prześlicznem różowem zabarwieniu. — Przecież to jutro imieniny Lili — jego malutkiej Lili — prześlicznej ukochanej żoneczki. Ona przepadała za takiemi właśnie różowemi i dostanie je jutro od niego. Kosztowały — no mniejsza z tem co kosztowały, ale są. Przesuwając perły w palcach, z czułością myślał o nieobecnej. Była mu nagrodą w życiu — koroną jego miljonów. Córka zrujnowanego magnata, młodziutka, prześliczna hrabianka Emilja R. niechętnie oddała swą rękę dużo starszemu, ale bogatemu bankierowi. Kochała podobno gorąco pięknego kuzyna, młodzieńca pełnego zalet, ale i nieco słabej woli, dziedzica pięknego nazwiska i piękniejszej jeszcze, lecz prawie do wartości obdłużonej fortuny. Miljoner wiedział o wszystkiem i miał na tyle zdrowego rozsądku, że się nie dziwił. Ufał, że zdobywszy ją, potrafi i serce jej pozyskać. I rzeczywiście. Pożycie ich było bez zarzutu. Żona dała mu córeczkę, która odziedziczyła po matce całą jej piękność. Dla nich pracował, dla nich zbierał miljony i czułby się niewymownie szczęśliwy, gdyby nie słabe zdrowie żony. Ciężka choroba, którą przebyła przed ośmiu laty, podkopała wątły organizm i nadwyrężyła nerwy tak, że musiała większą część roku spędzać zagranicą, celem kuracji. Bankier towarzyszył jej rzadko, oddany całą duszą interesom. Pominąwszy tę niewiele już dziś znaczącą okoliczność — gdyż życie ukochanej istoty nie było nareszcie zagrożone — miały te częste wyjazdy swój pieprzyk: żona była mu wciąż nowością, nie miała czasu „opatrzeć się", znudzić.

Bankier ułożył perły w jasnym kręgu światła, lubując się ich blaskiem, a pierś rozpierało mu uczucie dumy i radości. Oto jest u szczytu — tam gdzie dojść pragnął. Stoi na niedostępnej wyżynie, skąd nikt i nic go już nie strąci. Miljony jego mnożą się w zadziwiający sposób i mnożyć się będą dalej, gdyż zdrowie jego wyjątkowo silne, rokuje mu — według zapewnień największych powag krajowych i zagranicznych — długie jeszcze życie. Wszystko układa mu się pomyślnie — jak w bajce. Tak — szeptał do siebie — złoto garnie się do mnie — kocha mnie tak — jak, jak... kiedyś kochało Rudka. Dlaczego właśnie jak Rudka? Skąd Rudek przyplątał mi się w tej chwili? Tyle lat...

I jak w kalejdoskopie przemknęły mu przed oczyma beztroskie lata dziecinne, spędzone w skromnym, lecz dostatnim domku rodzinnym, w dzikich puszczach Brazylji. Niewinne igraszki i psoty chłopięce, wyprawy pełne tajemniczości i emocji w poszukiwaniu przygód — w których Rudek był mu nieodłącznym towarzyszem. Potem pełne uroku lata młodzieńcze, spędzone razem na szkolnej ławie; wreszcie śmierć rodziców, gorączka złota i wyjazd do Australji, a zawsze z Rudkiem, druhem serdecznym. Ileż to nędzy przebyli razem — dzielili się ostatnim kęsem chleba! Ale Rudolf miał większe szczęście — złoto kochało go...

— Więc zabiłeś go!

Bankier oglądnął się z przerażeniem, ręce zadygotały mu, jak w febrze. — Kto tu? — Nie, nie było nikogo. Złudzenie rozigranych nerwów. Przecież nikt — ale to nikt na świecie nie śmie mu zarzucić, że stał się powodem śmierci przyjaciela!

— Bóg!

— Bóg?!! ha! ha! ha! — dobryś sobie! — ale który? — ten malowany, czy ten w marmurze? ha-haha — a tom się uśmiał — rechotał dziko bankier.

— Rudka przecież zabił Hur w swej knajpie odległej o 25 mil ang. od naszej numy.

— Hahaha! niewiniątko! A kto podszepnął Hurowi, że Rudek kocha jego Irmę? Rudek zwierzył się tylko tobie przy - ja - cie - lo - wi!!!

Bankier skurczył się, jak smagnięty biczem, zimny pot okrył mu czoło, ręce i nogi zdrętwiały. Czuł że dzieje się z nim coś niezwykłego, a nie miał siły, ani woli, aby sięgnąć ręką do dzwonka, aby przywołać służbę i przerwać ten obłąkańczy łańcuch, zaciskający się na jego piersi.

— Ależ Hur był ojcem pięknej Irmy — miał prawo wiedzieć — próbował oponować baron.

— Ojcem? chcesz powiedzieć katem, który znęcał się nad nieszczęśliwą za to, że nie chciała mu pomagać w jego złodziejskiem rzemiośle, ani frymarczyć swą pięknością. Wiedziałeś, że nie oddałby jej nikomu, bo była przynętą jego budy! Dla niej Rudolf zbierał złoto, — dlatego garnęło się do niego. Tyś chciał tylko złoto dla złota — nic nie kochałeś i nikogo!

— Tak! chciałem złota, sławy, zaszczytów i zdobyłem je — postawił się hardo bankier.

— Zdobyłeś? Nie, ukradłeś. Okradłeś Rudolfa, którego najpierw zamordowałeś.

— Kłamstwo — wycharczał bankier.

— Czekaj — to nie koniec. — Łańcuch twych zbrodni daleko dłuższy! Hur katował bez litości Irmę, posądzając ją o zmowę z Rudkiem — aż biedactwo skończyło na dnie przepaści. A sam Hur? był złodziejem — ale krwi nie było na jego rękach. Ty zrobiłeś go mordercą — zapoczątkowałeś szereg zbrodni, który zawiódł go na szubienicę, — jego, twoje narzędzie — a ty prawdziwy zbrodniarzu żyjesz.

Bankier drżał jak w febrze. Czuł na piersiach zwiększający się coraz bardziej ucisk, oddech stawał się chrapliwym, a mózg natomiast pracował ze zdwojoną sprawnością. Wszystkie przeżycia dawno minione, stawały się plastyczne, niemal dotykalne. — Najdrobniejsze fakta, zaczęły róść do wielkości tragicznych przeżyć i zaczęły wiązać się w jeden olbrzymi łańcuch, stanowiący jego życie. Wszystko stało mu się jasne, zrozumiałe, a równocześnie przejął go lęk straszny przed czemś, czego obecność czuł, a co cisnęło go z siłą nieubłaganą.

Już nie atakował. Próbował bronić się jeszcze słabo, nieudolnie — jak dziecko.

— Dobrze — ależ później — robiłem tyle — dawałem na ochronki, szpitale — tysiące — ględził bezradnie.

— Pragnąłeś zyskać sławę — masz ją. Żaden czyn twój nie był bez osobistej korzyści, żaden ruch, bez zysku. Dla sławy i ambicji dawałeś tysiące, nie patrząc, czy przyniosły one prawdziwy pożytek. Dla nich wyciągnąłeś rękę po dziewczę młode, które kochało innego. Poślubiłeś ją, nie dbając na wstręt, który żywiła dla ciebie.

— Kocham ją...

— Kłamstwo! Tak samo kochałeś prześliczne zamorskie papugi, którym dałeś złocone klatki — karmiłeś zamorskiemi smakołykami, — a które mimo to ginęły, z tęsknoty za słońcem, za wolnością!

Baron pochylał głowę coraz niżej, a nieubłagany głos ciągnął dalej:

— Zdobywszy kobietę, sięgnąłeś zbrodniczą ręką, po jej ukochanego. Skupiłeś jego weksle, otoczyłeś go bandą wyzyskiwaczy, doprowadziłeś do ruiny materjalnej...

— Chciałem mu potem podać rękę! — przerwał baron.

— Tak, chciałeś go jeszcze upodlić w jej oczach. On jednak poznał cię naprawdę i wolał śmierć niż pomoc z rąk nienawistnych! Przegrałeś! Jej zdrowie podkopałeś na zawsze i nigdy, słyszysz — nigdy nie wydrzesz go z jej serca. Żywemu mogłeś ją odebrać, — umarłemu ty musisz ustąpić! Widziałeś stosy kwiatów na jego mogile? Wiesz, gdzie spieszy w pierwszy dzień po każdym powrocie z zagranicy? Ośm lat mija, a jej ból wciąż świeży! To jest miłość! Na nic twe bogactwa. Krwią splamione, więc szczęścia nie dadzą.

— Krwią splamione, więc szczęścia nie dadzą — wyszeptały pobladłe wargi bankiera, a oszalałe jego oczy spoczęły na naszyjniku, leżącym w jasnym kręgu światła.

— Krew — wykrztusił. Fioletowe żyły nabrzmiały mu na czole, jakby już miały pęknąć — oczy zdawały się wyskakiwać z orbit, z przerażenia. Zdrętwiałemi palcami schwycił perły i próbował oczyścić plamy. Daremnie, — nie znikały. Krew — wokoło rdzawe plamy krwi.

— Portfel — błysnęło mu ostatkiem świadomości.

Sztywniejące palce namacały go z trudnością. — Łapczywie spojrzał na banknoty — i tu jak wszędzie — rdzawe, zaschnięte — plamy. Trzeba zniszczyć je za wszelką cenę. Zapałki — trach — złamana, druga, trzecia, dziesiąta — obłąkańczy uśmiech ulgi i oczy strasznie dzikie — patrzące w ogień, trawiący szatańską fortunę.

Na drugi dzień poranne pisma stolicy, zamieściły szeroki opis:

Dziwny przypadek:

Z niewiadomych przyczyn wybuchł wczoraj wieczorem pożar, w pałacu podmiejskim, należącym do bankiera Ed. Z. Spłonęło lewe skrzydło, a pod gruzami znaleziono zwłoki śp. bankiera, kompletnie zwęglone. Dziwnym trafem prawe skrzydło, gdzie mieściły się apartamenta żony i córki śp. zmarłego, zostały nietknięte. Służba zajęta przygotowaniami do przyjęcia, mającego się odbyć w pałacu, nie zauważyła początków pożaru.

Tragicznie zmarły śp. bankier.... I tu zaczyna się litanja olbrzymich cnót i zasług, kończące się zapewnieniem, że tylko tacy obywatele — są przyszłością i ozdobą narodu.

Marja Waller.

Bunt przeciw Radziwiłłowi.



Może panowanie żadnego z królów polskich nie było tak ciężkie, jak króla Jana Kazimierza. Już gdy wstąpił na tron polski, szalała na wschodzie wojna ze zbuntowanem kozactwem pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, a zaledwie się ta skończyła i naród nieco odetchnął, wkroczyli do Ojczyzny naszej Szwedzi i zalali ją od Bałtyku aż po Karpaty.

Jak wiadomo, Jan Kazimierz pochodził z rodu Wazów, który panował wówczas również w Szwecji. Zdawałoby się, że krewniacy powinni żyć w zgodzie i możeby tak było, gdyby nie zwykła zazdrość. Oto jeden z magnatów polskich, nazwiskiem Radziejowski, podejrzywał króla Jana Kazimierza, że ten umizga się do jego żony. Chciał wywrzeć na królu zemstę, ale nie mógł znaleźć zwolenników, aby poparli jego zamierzenia. Kraj chciał spokoju, a nie wojny. Wobec tego udał się Radziejowski do Szwecji i namówił tamtejszego króla Karola Gustawa, aby wystąpił z pretensjami do tronu polskiego, twierdząc, że cały naród polski przyjmie go z radością.

Dał się namówić Karol Gustaw, zebrał wojsko i przeprawił się do Polski. Granicy pilnował Krzysztof Opaliński, ale ten bez jednego wystrzału przepuścił najeźdźcę na ziemie polskie. Mimo to Karol Gustaw nie był pewny, czy rzeczywiście cały kraj opowie się za nim. Obawiał się przedewszystkiem, aby potężny magnat litewski, Janusz ks. Radziwiłł nie rzucił się na jego tyły i nie zadał mu decydującej klęski. Zwrócił się więc do niego z propozycją, że jeżeli sam uzyska tron polski, to zgodzi się, aby ks. Radziwiłł ogłosił się wielkim księciem litewskim.

Propozycja ta spodobała się ks. Radziwiłłowi, sam jednak nie mógł nic zdziałać bez zgody dowódców swoich wojsk. Aby przekonać ich o korzyściach z takiego postanowienia, sprosił ich na ucztę, wśród której w różowych barwach przedstawiał im, ile na tem Polska zyska, jeżeli królem jej zostanie Karol Gustaw.

Oznajmienie to książęce uderzyło w zebranych, jak piorun z jasnego nieba. Większość z nich porzuciła swe buławy pułkownikowskie pod stopy dotychczasowego swojego pana, a tylko niektórzy pozostali mu wierni. Tę tragiczną scenę przedstawia właśnie nasz obrazek. Opisał ją ślicznie w powieści swej p. t. „Potop“ Henryk Sienkiewicz.

Mimo takiego szlachetnego odruchu u większości dowódców wojsk radziwiłłowskich, część z nich pozostała mu wierną i ci stanęli z nim przy boku króla szwedzkiego. Wskutek tego nie poraz pierwszy i nie poraz ostatni miała się polać krew bratnia na polach bitew.

I popłynęło jej wiele, póki cudowna obrona Częstochowy nie wyrwała narodu z uśpienia i nie skupiła go przy boku prawowitego króla, jakim był Jan Kazimierz. Pod wodzą Stefana Czarnieckiego poczęło się gromadzić coraz więcej rycerstwa polskiego, a ten prowadził je od zwycięstwa do zwycięstwa, póki nie wypędził zupełnie Szwedów z Polski.

Historja owej wojny szwedzko-polskiej jest znamienitem pouczeniem i dla nas obecnie. Wypływa z niej nauka, że naród tylko wtedy może wziąć górę nad wrogiem pod każdym względem, jeżeli działa zgodnie, jeżeli nie kłóci się wzajemnie i jeżeli nie szuka dla siebie korzyści, ale dobro Ojczyzny ma przedewszystkiem na celu.



MACIEK BZDURA GADA:

Juz to ze wszyćkie kobiety są od samego umnozenia sie uściśnione, to o tem nie trza dwa razy powiadać. I jakby sie ino nie broniły w swojem zyciu, toby nietylko były uściśnione, ale całkiem udusone. Bo i jakze, kuzdy na nią z gębą wsiędzie, ze taka, ze owaka, a jakby jem jesce Poniezus był tego języcka w gębie poskąpił, to kto wie, jakby było? W kazdem razie byłoby jesce gorzej, jak źle. Ale ze to kuzda w buzi swej posiada parę łokci tej serdecnej obrony, to jem ta jesce jako tako na tej poświącanej ziemi idzie.

Coby była na przykład zrobiła taka pani Dziurdziulińska, gdyby nie miała ozorka na swoją obronę. Zdarzyło sie jej, ze ją wyrzucili z jednego miskania, a ona musiała sukać inksego. Idzie tedy z małzonkiem swem do pana Klimcykiewica, który akuratnie na swoje nieszczęście miał izbę do wynajęcia, i powiada:

— Moje usanowanie panu dobrodziejowi! Jestem, Boże odpuść, pani Dziurdziulińska, uściśniona zona tego tu oto niedołęgi Pietra i cy mam honor mówić z gospodarzem tego domu?

— Prose bardzo! — odrzekł ten ostatni. — Czemze mogę państwu słuzyć?

— Chciałabym, proszę pana, wynająć to mieszkanie na trzeciem piętrze.

— Podoba sie nam — wtrącił małzonek.

— Podoba, cy nie podoba, a ty stul trąbę i nie wtrącaj sie nie do swoich rzecy! Juz tez to skaranie Boskie z temi chłopami, ani człekowi przyjść do słowa nie dadzą...

— Ha, no! Mieszkanie jest... Ładne, suche, do słońca...

— Czy aby tylko nie bardzo drogie? — ozwał sie nieśmiało pan Dziurdziuliński.

— Proszę cię milcz i daj mi przyjść do słowa! — zestrofowała pani Dziurdziulińska swojego śturkaca.

— No, tysięcy tam państwo płacić nie będziecie! Radbym tylko wiedzieć, czy państwo macie dużo dzieci?

— Pięcioro proszę pa...

— Co pan słucha tego niedołęgi! Stać go na pięcioro! — żachnęła się pani Dziurdziulińska. — Niby właściwie to tylko dwoje. I zresztą jakie to tam dzieci! Najstarsza chodzi do szycia, to jej cały dzień niema w domu; chłopak w gimnazjum, młodsza w trzeciej klasie powszechnej... To się przecie nie liczy... Jedno ino jest takie, co ma dwa latka i to maleńkie w kołysce...

— Hm, hm!...

— Ale muszę pana gospodarza zapewnić, że my jesteśmy cicha partja, jak mało kto...

— Właśnie mi też o to chodzi...

— Przez tych pięć lat, cośmy przyjechali do miasta, mieliśmy już czternaście mieszkań, a wszędzie dobrześmy się rozeszli z gospodarzem.

— To prawda — mruknął pan Dziurdziuliński.

— Ty, gamoniu, nie potrzebujes przyświadcać, bo cię sie o to nikt nie pyta. Pan gospodarz i tak więcej mnie wierzy, bo widzi przecie, ze ze mnie bije sama prawda. Właściwie to ja, prosze pana dobrodzieja, jestem taka cicha; inne kobiety to mają gęby, aze strach w nie popatrzyć... a jak zacną gadać, to bez końca. A ja nie dlatego, zebym sie sama chwaliła, ale ja nikomu w życiu nie ubliżę...

— Ano to prawda — przytaknął znów mąż.

— Stulze juz raz pysk, bejdusie!

— Jak powiedziałem — ozwał się gospodarz — mieszkanie ładne, jasne, suche, wszelka wygodność na miejscu. Wychodek ma pani pod nosem...

— Co? — skocyła pani Dziurdziulińska. — Co? Co ja mam pod nosem?

Pan Klimczykiewicz aż się cofnął przestraszony.

— No to się ino tak mówi! — bąknął.

— Co sie mówi? Mnie takie rzecy sie mówi? Mnie, com jesce zadnem śmiertelnem grzychem Pana Boga nigdy nie obraziła? I to tak do ocu? Ja taka cicha partja!...

— Ale niechże pani pozwoli...

— Co mam pozwolić? Na nic nie pozwalam! Co sobie pan myśli, ze ja jaka taka z ulicy i ze pan ma kamienicę, to panu wszyćko wolno?... A ty niedołęgo, mamałygo jakaś, nie ujmujesz się za żoną? On powiada, że ja mam wychodek pod nosem! Patrzcie na niego!

— Ależ, moja pani!...

— Co to „moja pani". Do kogo pan mówi „moja"? Niech sobie pan nie myśli, że my byle co! Mąż mój jest woźnem w magistracie... Rozumie pan? A ja jestem od prania i to po samych lepszych domach... Jak będzie potrza, to i pana po pysku wypierę...

— A tego już zawiele! Proszę wyjść stąd! — krzyknął pan Klimczykiewicz.

— O widzis go! jaki mi hrabia, będzie ludzi za drzwi wyrzucał. I to mnie, com nigdy nikomu marnego słowa nie rzekła...

— No, to prawda, — potwierdził nieśmiało mąż.

— Łżesz, pierniku makaroński, ale jesteś ciućmak, łabajda! Ja taka porządna, dobrze wychowana kobieta, ja taka cicha partja i ja mam mieć wychodek pod nosem?...

— Józef! Marysia! — wrzasnął pan Klimczykiewicz.

— O nie trza nas wyrzucać, sami pójdziemy! My taka cicha partja znajdziemy lepsze mieszkanie, jak u takiego zatraconego piernika. Psiakrew, hrabia, kamienicnik, socjalista! Ja com nikomu marnego słowa w życiu nie rzekła, nie pozwolę sobą poniewierać!... Pójdź, gamoniu, a jego niech pierun trzaśnie!...

I pośli nienaruseni, a uchronił ich język pani Dziurdziulińskiej, którym ją Poniezus obdarzył.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Kanada.

Na północ od Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej leży Kanada, kraj, pozostający w pewnej zależności od Anglji. Przynajmniej z nawiska zna go niejeden z naszych Czytelników, a może ma w nim brata lub ojca, albo jakiego innego krewnego. Boć do Kanady wyjeżdża wielu Polaków za zarobkiem do pracy rolnej. Niektórzy pozostają tam przez czas dłuższy, a inni marzą, jakby się stamtąd przedostać do Stanów Zjednoczonych, co się im niejednokrotnie udaje.



Przenoszenie łodzi.

Jeszcze w wieku XVII Kanadę zamieszkiwały prawie w zupełności ludy dzikie, a dzisiejsze wielkie miasta, jak Kwebek, Montreal, Trójrzecze i Otawa były bardzo małemi osadami, w których zaledwie spotkać się było można z lichym sklepikiem, ubogą kapilczką i nędznym jakim okopem, mającym przedstawiać warownię przeciw napadom dzikich Indjan lub zazdrosnych Anglików.

W olbrzymich lasach mieszkali dzicy Indjanie. Dzielili się oni na trzy odrębne szczepy, a mianowicie na Algonkinów, Irokezów i pomieszanych z nimi Huronów. Podczas gdy rozliczne hordy Algonkinów pod różnymi nazwami przebiegały rozległe krainy od północnej części zatoki Hudsońskiej aż do południowej granicy dzisiejszej Wirginji, i od rzeki Missisipi aż do wybrzeży Atlantyku, to Huroni i Irokezi zajmowali mniej więcej całą przestrzeń dorzecza rzeki św. Wawrzyńca pośród licznych tamże rozpostartych jezior. Tak więc kraj Huronów i Irokezów mieścił się pośrodku Algonkinów. Mimo to nie potrzebowali się jednak lękać ich podboju, górowali bowiem nad nimi siłą ciała, męstwem i sprężystością w działaniu.

Atoli wszelkie fizyczne i moralne ich zalety nie zabezpieczyły ich od srogich zaburzeń i wojen, jakie na on czas północną Amerykę szarpały. W ciągłej między sobą waśni, bez ustanku napadali na siebie, a kiedy Europejczycy zawitali do nich, jeszcze się więcej zaogniły ich wzajemne zawiści. Gdy bowiem katoliccy Francuzi, osiedleni nad brzegiem rzeki św. Wawrzyńca, weszli z Huronami w przyjazne stosunki, protestanccy Holendrzy i Anglicy połączyli się z Irokezami, zaopatrzyli ich w palną broń i pobudzili tych, już bez tego zdziczałych mieszkańców leśnych, do wojny na zabój przeciw Huronom i ich sprzymierzeńcom.

W zaciętych bojach Irokezi wzięli górę, wskutek czego Anglicy zapanowali nad całym krajem, a Huroni, a wraz z nimi i Francuzi musieli być ich poddanymi.

Huroni, żyjący w pobliżu olbrzymiej tamtejszej rzeki, byli doskonałymi żeglarzami. Żegluga szczególniej po Otawie była w niektórych miejscach bardzo utrudnioną z przyczyny skał, sterczących w wielu miejscach, tudzież nagłego spadu wody, który gdzieniegdzie zamieniał się w kataraktę. Płynąc na dół, umieli Huroni zręcznie spuszczać się na łodziach z progów, niekiedy wielce niebezpiecznych, ale kiedy płynęli pod wodę, musieli się często zatrzymywać u brzegu, zdejmować wszelki ładunek i przenosić łódź na barkach, albo ją ciągnąć mozolnie aż do miejsca, w którem znowu po rzece spokojnie płynąć mogli, jak to jeszcze i dziś czynią mieszkańcy onych miejsc.

Takie przeciąganie łodzi widzimy na naszym pierwszym obrazku.

Wielu z zamieszkałych Francuzów wśród Huronów z czasem zdziczało. Są oni tam jeszcze i dzisiaj pod nazwą Traperów, którzy czy to na własną rękę, czy też zostając na żołdzie różnych handlowych towarzystw, krążą po lasach północnej Ame-

ryki ze strzelbą albo łapką, czyhając na zwierzęta handlarzom futer przydatne. Takiego Trapera, rozglądającego się za zwierzyną wśród zaśnieżonych tamtejszych lasów, widzimy na naszym drugim obrazku.

Kanada jest podzielona na prowincje, każda rządzi się autonomicznie. Wszystkie złączone są węzłem federacji. Na czele jest rząd, rezydujący w Ottawie pod naczelnym gubernatorem. Przy jego boku tajna rada, złożona z ministrów czynnych i wysłużonych. Ciałem autonomicznem jest parlament, złożony z Izby wyższej i niższej. Członków Izby wyższej wybiera gubernator, do Izby niższej wybiera ludność. Kanada jest przedewszystkiem krajem rolniczym, krajem wielkich pastwisk, posiada wielkie bogactwo i wiele ryb. Oprócz zbóż uprawiają na wielką skalę winną latorośl i owoce. Kanada posiada wielkie lasy, wiele węgla kamiennego, żelaza, złota, ołowiu, manganu, niklu, granitu, cynku i platyny. Hodowla bydła rozwinięta nadzwyczajnie.

Obecnie Kanada, jak to powiedzieliśmy, tworzy własne państwo. Ma swój rząd, swój parlament w Ottawie, ale działa zawsze w porozumieniu z Anglją i jest w wielu razach od niej zależną. Tak, jak zresztą wiele posiadłości angielskich, i tak, jak wiele z tych posiadłości czeka zupełnego wyswobodzenia się z pod hegenomji Wielkiej Brytanji. Dopóki rząd angielski niezbyt miesza się w wewnętrzne sprawy swych dominjów, wszystko idzie po dawnemu, ale gdyby chciał coś zadużo żądać od nich, to te niezawodnie stanęłyby mu okoniem i opiekę jego z siebie zrzuciłyby, jak stało się to już po części w Egipcie, jak marzą o tem w Indjach, jak zapewne niejeden myśli w Kanadzie. Dopóki dobrze, to dobrze, ale wkońcu coś się popsuć może i wielka potęga Anglji łatwo może zmaleć. Zwłaszcza w ostatnich czasach łączność posiadłości angielskich z krajem macierzystym coraz bardziej psuć się zaczyna.



Kanadyjski traper.

BOL. DEJWOREK.

Jak Janos śmierć w pole wyprowadził.

(Dokończenie)

Dawoj jo prosić śmierć, molestować, błagać, ale ona nic. Przysiadła se na mnie jakem lezoł, i kose ostrzy kamieniem, ino sie iskry sypią. — Słabom — pedo, bom sie zmordowała i kosisko tępe, nie dałabym ci rady. A djoboł sie coroz nabliza.

Wstała nareście, oskracyła piscelce, coby się dobrze zamachnąć, ale sie jesce pyto:

— Godoj, o coś sie chcioł wiesać — hy?

— O dziewke — ledwom przerzek.

— Co? — pyto.

Musiołem powtórzyć, a ona w śmiech:

— Aha, bratku, znom jo takich!

— A bez co? — pyto sie jesce.

— Bo mie nie chciała.

Śmierć mi sie przyźrała uwoźnie, potem se siadła i gwarzy:

— Ciebie nie chciała?

— Juści — nie chciała.

— Hm — a lubiołeś ją?

— No tak.

— Ou, — pado śmierć — to coś w tem jest!

— Jo nie winien, — gwarzę — coś mi zadała cy co, doś, zem se nimóg poradzić. Ostow mie — prose — ostow moja złoto!

Śmierć pomyślała chwilkę. Zadumała się.

— Słuchoj, poniechałabym cie, ale zebyś mi przyrek, ze mie tak będzies jak te dziewkę lubioł, i ze mi przysięgnies i wiary na zawdy dochowos. Ze sie ani zenił, ani na wiare ze zodnom kobietą siedzioł nie bedzies, ino bedzies mój — dobrze? Inacy ci nie przepusce. Godoj moli, bo mi sie śpiesy!

I znou sie zamierzyła.

Coz było robić — musiołem przyrzec.

Wtedy ona na odchodnem jesce mi przykozała, ze jakbym ją chcioł przezdradzić abo ocyganić jako, to zaroz piersy nocy po ślubie po mnie przydzie jak po swego — no i posła. Wiadomo, ludzi jest moc na świecie, duzo ich umiero, zawdy trza być na stanowisku.

Jo, rod ze mi sie dało wyłgać, zebrołem kości i przywlókem sie do chałupy. Wydobrzołem wnet i po ksynie — zobocyłem o wszystkiem.

Hano, cóz — w chałupie nimioł chto robić — ani gospodarki przypilnować. — Jo był młody, brak mi było kogosi bliskiego przy sobie. Trudno, trza sie było ozenić.

Hań przy moście u Jantunich była wtencos na wydaniu dzieucha. Zdatno, przystojno była. Zachodził ten i tamten, zenić sie chcioł kowol jeden, bitnik i zawalidroga na okolicy, alem sie nie boł, choć mi

sie odkazował, inom sprawę ogwarzył, i robiliśmy wesele. A z tą śmiercią tom se myśloł: Kto ta wie, chorym był w gorączce, zwidziało mi sie i juz.

Kiej sie jednak w piersy dzień wesela zmierzchało i noc sie zawarła, nijako mi sie zrobiło, coś mie w sercu zacyno przepiekać, niepokój mie ogarnął. Rano tom se śpiewoł na całą wieś:

Danas moja danas
Powiesił sie Janos
Oj, powiesił sie cudnie
Gembom na południe.

Ale wiecorem to juz śpiewać nimógem, ani sie nijak uspokoić. Postrzegli to weselni, myśleli ze sie boje kowola, bo przysed na wesele i Jagnisi asystowoł — dawoj septać między sobą.

Koło dziesiąty zdjon mie okrutny strach. Skrzypki grały ze hej, młodzi tańcowali i śpiewali, az sie ozlegało, kowol zawdy z panną młodą, starsi jedli, a pili, a pokrzykiwali, a jo sie wymknął cichutko z chałupy. Bałem sie wszędzie, w obejściu, w polu. Káj ona mie moze napotkać. Umyślołem se — smyk pod most, siodem cichutko i siedze.

Ano — siedze siedze. Tu prec granie i wesele słychać, myśle se: choćby przysła, jak mie na weselu nie nońdzie — poceko poceko — dozo casu mimo — musi iść do swojej roboty. Jo cas mom posiedze. A kto wie, myśle se, moze sie omyli i kowola weźnie za mnie, ze sie to tak do panny młodej przypion. Jaz tu i koguty pieją na północek. Słuchom: naroz ktosik hań od pól jedzie drogą. Turkot ogromny, jakby w osiem kuni, tak tarasi ze to tarasi. Ino zahucało kieby grzmot po moście. Patrze — próżny wóz w kopnych drabinach — myśle — kumusik kunie uciekły. A tu naroz przed weselem przystanęły na momencik, kieby kto mioł wysiąść — i zaroz dali poleciały.

Nim to wszyćko w głowie se ozmyślołem, i z przestrachu zanim sie otrzepołem — a tu krzyk sie podnies na weselu — granie ucichło. Słuchom: nase wsiowe chłopoki o cosi sie dochodzą z kowolem ze to zabijoka był awanturny. Ano — kłócą sie, kłócą, jaz widać kowol kogoś zdzielił. Porwali sie wszyscy ino tupot było słychać, daligo bić jaz sie naroz ucisyło. Znou we wsi ozległ sie turkot, patrze ten som wóz jedzie, przystanoł jakby kto mioł wsiadać i przez most drogą w pola. Patrzę dobrze — nima nikogo na wozie.

A od wesela ciągle jesce gwar słychać. Za jaką godzinę wylazłem z ciekawości, zachodzę — a tu kowol dusze oddaje. Niby go w bitce potarmosili, a poprawdzie to śmierć na tym wozie jeździła i kowala se zabrała.

— I widzis, od tej pory, sześćdziesiąt i sześć lat temu, tyle ludzi naumierało młodsych odemnie, a mnie nic. Nie przychodzi śmierć po mnie i juz. Bo ona myśli ze mnie wtencos zabrała — zakończyli uśmiechając się ku wnukowi przedobrotliwą mądrości, a filuternie.

Słońce zachodziło. Cichość i spokój kładły się na pola, na sady i wieś. Podnieśli się, by wrócić do domu.

Gospodarna wnukowa zastawiła przed dziadkiem i synem wieczerzę smakowitą.

Młody zajadał z apetytem, ale Janos nie mogli jakoś jeść. Ukąsili chleba raz i drugi, chlipnęli mleka — nie mogli.

— Jakoś nimoge jeść — nie będe.

Siedli se patrzeć z ganku na zorzę na zachodzie. Wnuki i prawnuki zdziwieni, bo dziadkowi nigdy nie mieć apetytu, ani chorować się nie przytrafiło, patrzyli uważnie na Janosa, a Janosowi oczy w zorzę wpatrzone nagle zaczęły blednąć, i lice się kurczyć.



...Patrzę, tensam wóz jedzie przez most w pola.

Po jakiejś chwili obrócili się dziadek ku dzieciom:

— Ostańcie z Bogiem zdrowi... — niech wom się darzy. — Na mnie już widać cas — rzekli drżącym głosem.

A potem jeszcze niby do prawnuka najstarszego:

— Widzis, nic, ino nos, jak my se gwarzyli musiała kaj podsłuchać. Nic, ino to.

Zbiegli się wszyscy do dziadka, obstąpili ich kołem.

A oni rzekli jeszcze cicho, jakby ino do siebie:

— Straśnie dobrze, ze to teroz umierom przede zniwy. Bo na jesieni toby smutno beło. Pola nie takie jak dziś — ogołocone. Teraz jest na co patrzeć.



Samotnik.

Idę po pustych ulicach,
Błądzę po drogach niedoli,
Szukam — pustelnik — przyjaźni,
Bo serce samotne mię boli.

Idę, gdzie ulic są kresy,
Hej, młode serce mnie żenie!...
Idę w krainę przerajską,
Gdzie panem, gdzie bogiem — Marzenie.

Nikt jednak ze mną nie idzie —
Być towarzyszem nie raczy!
Ludzie lgną tylko do złota,
Ludzie szukają bogaczy.

Jam nędzarz w podartych butach —
Największy żebrak tej ziemi...
Nie mam ja pańskich pałaców,
Na palcach drogich kamieni.

...Mam tylko skrzypki dębowe
Z niemi grający wędruję —
Wiatr tylko dziki po polach,
Moich piosenek słuchuje...

Wiatr tylko słucha piosenek
...Czasem... i ludzie słuchają
— Gdy niewygranych mych skrzypek
Struny żałośnie zadrgają...

Idę tak, idę grający,
Błądzę po ścieżkach niedoli,
Szukam bez celu przyjaźni,
— A serce samotne tak boli!...

Jacek Orlik.

Strefniona kawa.

Nieboszczyk ks. infułat Krzemieński, proboszcz parafji kościoła Marjackiego w Krakowie, był za młodu bardzo pobożnym chłopczykiem, ale też ogromnie lubiał od czasu do czasu spłatać komuś dobrego figla. O jednym z nich chętnie sam opowiadał:

Było to tak:

Jako student bawił u państwa Homolaczów w Zakopanem w charakterze nauczyciela do synów.

Otóż zdarzyło się, że ktoś w domu ciężko zachorował. Zawezwano podówczas doktora Dietla z Krakowa, który też chętnie przybył z pomocą, ale wymówił sobie, żeby po drodze były rozstawione konie, gdyż musi pilno wracać do miasta.

Jak zażądał, tak się stało. A kiedy doktor szybko załatwił i miał powracać, przystąpił do niego młody Józio Krzemieński z prośbą, aby go ze sobą zabrał do Krakowa, bo mu się nie prędko taka okazja nadarzy, a chciałby jechać z wakacji do szkoły. Zgodził się pan doktór i pojechali razem.

Do Mogilan wszystko szło w porządku. Konie były porozstawiane, jak należy, tak, że pan doktór mógł jeszcze na postojach udzielać porady lekarskiej różnym pacjentom, zgłaszającym się do niego, na wiadomość o przyjeździe tak sławnego lekarza.

W Mogilanach nie zmieniano już koni, tylko podróżni sami wstąpili do oberży na popas. Kiedy konie i ludzie dostatecznie odpoczęły, pan Dietl kazał iść Józiowi do żyda po rachunek. Józio zajadał właśnie chleb z kiełbasą, jak stał, — chleb w jednej ręce, kiełbasa w drugiej, — idzie do sklepu.

W sklepie zastał tylko żydówkę z dzieckiem na ręku, zapijającą smacznie kawę. Skoro przedstawił swój interes, żydówka wstała i poszła szukać męża.

Z tej chwili skorzystał Józio i nie namyślając się wiele — macza swoją kiełbasę w garnuszku z kawą, z którego piła żydówka.

—Co też ona z tem zrobi? — pomyślał.

Zaledwo jednak dobrze kiełbasę umaczał, strach go wziął, że z tego może być jakaś grubsza awantura. Więc rzuca kiełbasę do garnuszka, wraca do doktora i zaczyna naglić do odjazdu...

— Dobrze! dobrze, mój kawalerze! Ale co będzie z rachunkiem? — zauważył pan Dietl.

— To nic! To nic! Jedźmy! jedźmy! — upiera się Józio — pan doktór zapłaci kiedyindziej.

— Ale cóż się stało takiego? — próbował protestować lekarz.

Ale Józio nie uważa na nic, ciągnie go gwałtem do powozu i tylko swoje powtarza uparcie:

— Jedźmy! panie jedźmy!

— Aj, waj! Aj waj! Gewałt! gewałt! Gdzie ten szlachcic!... Gdzie ten paskidnik!?... Wun mnie struł: Giewałt! Ratujcie!...

To pani kupcowa tak zawodziła nad swoją strefnioną kawą...

Słysząc te krzyki, Józio, jeszcze bardziej nagli do odjazdu, ale doktór przerażony na serjo, że to jakiś wypadek nagłego zasłabnięcia i nie pytając dalej, pobiegł w stronę, skąd krzyk dochodził. Wpada do sklepu, gdzie się już cała rodzina żydowska razem ze służbą zgromadziła i zastaje żydówkę rozkraczoną za bufetem, jakby w ataku konwulsji, lamentującą i spazmującą, że aż uszy bolały od słuchu.

Długi czas nic nie można było z niej wydobyć, prócz tych samych wykrzykników:

— Ten szlachcic!... Ten paskidnik!... Aj waj!... Gewałt!

Pan Dietl chwyta za puls — normalny, zagląda do ust — język czysty, dotyka czoła — gorączki ani śladu, więc już zaczął przypuszczać, że ma do czynienia z jakimś atakiem histerycznego szału.

Wtem żydówka pokazuje na garnuszek z kawą:

— Tfy! tu! panie doktór... tu on narobił!... Ach jej!... Ach jej!... Ach jej!... Ja już zaraz bende umiracz...

W tej samej chwili jeden z młodszych żydków dostrzega pływającą w garnuszku kiełbasę i pokazuje ją obecnym. Na jej widok żydówka jeszcze bardziej poczyna wrzeszczeć:

— To wun! to wun!... to ten kilbas to narobił!... Ja jemu zaraz poznacz! Niech pan doktór powąchuje!

Doktór powąchał kawę i rozśmiał się na całę gardło.

— Rozumiem już, rozumiem!... Ktoś wsadził pani kiełbasę do kawy... No, no... Nic pani nie będzie... Niech się pani nie boi...

— Jakto nie bendzie!... Jakto nie boi... Ja już teraz nie żydówka... Ja już tref!... Aj waj! I moje dziecko od piersi także tref!... Aj waj!...

— Ależ pani, toż to tylko figiel niewinny.

— Jaki figiel? Co za figiel?!... Dla mnie to żaden figiel... Ja, jak żyję, jeszcze takie paskustwo nie kosztowałam.

— Pani nie kosztowała, ale inni kosztują i jedzą ze smakiem i nic im się nie dzieje złego...

— To katoliki! to ony mają świński żołądek... Im nie szkodzi... My żydy ni mamy takich mocnych żołądków. My jesteśmy kuszer!

— Kuszer, nie kuszer, z żołądkiem to nie ma nic wspólnego... Niech mi pani wierzy...

— To pan doktór tak mówi... Ale tamten gałgan, tamten szlachcic, to on mnie pewnie chczał strucz. Ja jemu bende do kryminału skarżyć...

— Jaki gałgan? Jaki szlachcic?

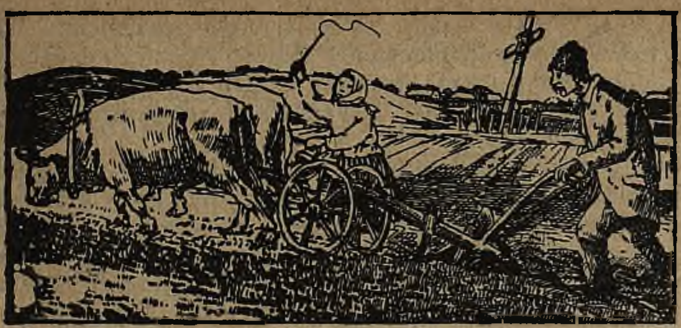
— Ny!... ten młody szlachcic, co przyjechał z pan doktór. On tu przyszedł z tym kilbas... On mi kazał iszcz do męża po rachunek, a jak ja wróciła, to jego już nie buło, tylko ten figiel od niego...

— Krzemieński?... A to huncwot — zadziwił się poczciwy pan doktór.

Kazał zawołać nieszczęsnego figlarza, a gdy tenże przyznał się do wszystkiego, sami żydzi wybuchnęli śmiechem i sprawa załagodziła się odrazu. Doktór wyjaśnił żydom znaczenie koszernego jadła, zapłacił rachunek, żydówce dał jakieś krople uspokajające na nerwy i pożegnał całe towarzystwo w najlepszym humorze, zabierając ze sobą Józia.

Nikt im nie robił żadnych trudności w odjeździe, tylko żydówka na pożegnanie groziła jeszcze ręką Krzemieńskiemu:

— Panie szlachcic!... Panie huncwot!... Niech pan na drugi raz takie figle nie robi bez doktora, bo może być sprawe kryminalne.



Poradnik gospodarczy.

Zdrowie w zimie.

Pielęgnowanie zdrowia uważamy za najświętszy obowiązek życiowy. I słusznie! Tylko, że zbyt często niestety pod pozorem pielęgnowania i utrzymania zdrowia, rozpieszczamy ciało, nie pamiętając na to, że za rozpieszczeniem ciała idzie zniewieścienie ducha.

W zimie, w naszym klimacie, najbardziej pozwalamy sobie na „rozpieszczanie“ ciała, a co za tem idzie i na spaczenie ducha.

Co to jest „rozpieszczanie“? Czy w lecie mniej rozpieszczamy ciało, aniżeli w zimie?... Tak jest. W lecie dni są gorętsze, a my, chcąc ciało do nich przyzwyczaić, ubieramy się lekko, wystawiamy je na przewiew wiatru bez obawy przeziębienia! Słowem przyzwyczajamy ciało nasze do otaczającej temperatury. Zimą inaczej. Tulimy się w ciepłe palta, futra, kalosze, szale i t. p., czyli chronimy ciało przed tym wpływem, do którego przyzwyczajać je powinniśmy. Jest to zupełnie coś podobnego, jak kiedy matka pragnie uchronić pieszczocha swojego od gorących lub mroźnych podmuchów życia, a chce mu zapewnić otoczenie ckliwo-letnie. Nie dobre to chowanie; pierwsza lepsza przeciwność zwarzy roślinkę w cieplarni wychowaną.

Indjanin Ameryki północnej nie narzeka wcale na mrozy, choć większe są one tam, niż u nas, a ubranie jego niebardzo różni się od tego, w jakiem pradziad nasz Adam udał się na wędrówkę po ziemi, gdy go z raju wypędzono. I każdy z nas zobaczywszy Indjanina „arcyskromnie“ ubranego na kilkunastostopniowym mrozie, zapyta ze zdziwieniem: „I ten człowiek nie zmarznie?“ — Nie. Tak samo nam nie zmarznie twarz, pomimo, że na mróz bywa wystawiana, a raczej dlatego, że do mrozu bywa przyzwyczajaną.

A my?... Pomiędzy nami są i tacy, którym zimno jest w pokoju ogrzanym, przy napalonym piecu. Czyż można dziwić się, że taki człowiek ulega łatwo zaziębieniom, skoro go tylko drobny wietrzyk owieje?

Nie umiemy cenić naszej zimy, która bezsprzecznie posiada dobre strony i wielkie zalety. Jedyna to pora roku, w której nastręcza się nam sposobność do wzmocnienia naszego organizmu, do nabrania hartu i siły, potrzebnych w trudnej walce życiowej.

Stara a niewzruszona prawda głosi, iż najpewniejszą ochroną przeciw zaziębieniu jest przyzwyczajenie do zimna. Czemuż o prawdzie tej zapominamy?

Rodzice, którzy chcąc dzieci uchronić od zaziębienia, obwijają je we wszelkie możliwe ciepłe ubrania, wyświadczają im bardzo, ale to bardzo złą usługę. Młodzież powinna się uczyć marznąć, do czego znakomitą sposobność nastręczają w zimie, ślizgawki, gry na śniegu, chodzenie po górach. Im więcej młodzież używa ruchu w zimie, w możliwie lekkiem ubraniu, tembardziej rozwija się cieleśnie, tem większego nabywa hartu i siły odpornej.

Ale i dorośli powinni strzec się rozpieszczania ciała zbyt ciepłem ubraniem. Niechajże przynajmniej szyi pozostawią swobodę, nie obwijając jej grubemi chustami i szalami.

Nie tak łatwo zaziębiają się ci, którzy wogóle nie noszą żadnych futer, ale wyszedłszy na chłodne powietrze, biegają i poruszają się prędko. Przedewszystkiem zaś powinniśmy w zimie pamiętać o należytem oddychaniu, znajdując się na świeżem powietrzu. Stanowi to poniekąd najtańszy środek ogrzewający, gdyż głębokiem oddychaniem pędzimy krew do najdalszego zakątka kończyn naszego ciała.

W zimie powietrze jest czystsze, niż w lecie i w czasie mroźnej zimy mniej chorób panuje, aniżeli jesienią lub wiosną. Dlatego też nie zaklejajmy okien na zimę kitem, watą lub papierem; przeciwnie, otwierajmy je często i wpuszczajmy przez nie czyste powietrze. Nie obawiajmy się straty na opale; otwierając okna dosyć często, oszczędzamy paliwa, rzeczą bowiem dowiedzioną jest, iż czyste powietrze sześć razy prędzej się ogrzewa i dłużej zachowuje w sobie ciepłotę, aniżeli zużyte.

A zatem precz z przesądem i obawą, że ogrzany pokój zamkniętym być musi, choćby przytem kłęby dymu tytoniowego i inne brudy ledwie oddychać pozwalały. Tylko śmiało!... odejmijmy kit i otwórzmy okna choćby na kilka minut. Zimny przewiew wymiecie zepsute powietrze i zastąpi je czystem, a wówczas dopiero przekonamy się, jak szybko i przyjemnie ogrzeje się powietrze w pokoju.

Przewietrzanie mieszkania zimową porą jest niezbędnie potrzebne.

Kto obawia się w zimie chłodu i katarów, niechaj chroni się przed niemi nie zapomocą ciepłego ubrania, szalów lub kołnierzy futrzanych, ale zapomocą zimnej kąpieli, albo codziennego nacierania całego ciała zimną wodą, a jeszcze lepiej świeżym śniegiem. Śnieg ten, to istny eliksir zdrowia. Nie drogi, dla każdego dostępny, ale trzeba korzystać z zimy, bo w lecie i za grube pieniądze dostać go nie można.

Poradnik lekarski.

Pocenie się rąk. Myć ręce kilka razy dziennie w ciepłej wodzie z 30 kroplami tynktury benzoesowej (z apteki) wcierać sproszkowany kamień winny.

Porażenie piorunem. Nacieranie zimną wodą, stosować sztuczne oddechanie, jak u topielców, dać ciepłą kąpiel, osuszyć i okryć w łóżku ciepłą pościelą. Jeśli nie wraca do przytomności, to rozcierać i ogrzewać ciało, postawić kilka pijawek poza uszami, na głowę dać zimne okłady.

Ucha zapalenie. Przyczyną tej bolesnej choroby jest przeziębienie, nadto odra, płonica, katar, zapalenie migdałów oraz z powodu dostania się do ucha ciał obcych. — Objawy: Zaczerwienienie, obrzęk zatykający przewód, silne bóle, niekiedy powstają majaczenia.

Leczenie: Letnim naparem rumianku, skrzypu, należy przestrzykiwać ucho, robić okłady ciepłe z siemienia, nogi moczyć w ciepłej wodzie. Wkraplać olejek migdałowy. Pić herbatkę ślazika, mięty, kory dębowej. Naparzać ucho nad rumiankiem i skrzypem.

KRONIKA.

Uwolnienie byłych posłów z więzienia. Niektórzy b. posłowie, których aresztowano przed kilku tygodniami, zostali obecnie wypuszczeni na wolność za kaucją. Pp. Witos i Lieberman złożyli po 10.000 zł. kaucji, p. Mastek 5.000 zł. Zwolnieni posłowie będą odpowiadać przed sądem z wolnej stopy.

Oszust w szatach kapłana. Przebrany za kapelana wojskowego przybył do Zakopanego nieznany osobnik, który zajmował się wysyłaniem listów do plebanji i klasztorów z prośbą o wsparcie dla biednego chorego księdza. Listy te podpisywał jako O. Paulin Wilczyński, ks. Jabłoński, kapelan wojskowy z Lublina, ks. Psonka i t. d. Posiadał on rozmaite legitymacje i papiery. Jakoś zwiedziała się o nim policja i ustaliła, że nazywa się Jan Koń, pochodzi z pow. łańcuckiego, księdzem nie jest, określonego zajęcia nie posiada. Konia aresztowano i odstawiono do urzędu śledczego w Krakowie.

Lekarz oszustem. W tych dniach aresztowano we Lwowie lekarza Dr. Ihnatowicza i szofera Zwedlinga, którzy wspólnie dopuścili się kilka oszustw. Według dotychczasowych wyników śledztwa Dr. Ihnatowicz wystawiał weksle bez pokrycia, za które Zwedling nabywał towary, sprzedawane następnie za bezcen. Weksli oczywiście nie wykupił. Cały szereg firm lwowskich poniósł wskutek tego znaczne straty.

Sprzeniewierzenie w Stanisławowie. Sprzeniewierzenia w nieznanej dotąd wysokości sumy dokonano w ostatnim czasie w technicznym zarządzie telegrafów i telefonów w Stanisławowie. Okręgowa dyrekcja poczt i telegrafów we Lwowie wydelegowała w związku z tem smutnem odkryciem inspektora Medecha na rewizję do Stanisławowa. Delegat po przeprowadzeniu dochodzeń zwrócił się do policji z żądaniem aresztowania naczelnika zarządu Józefa Heydnera, którego osadzono w areszcie. Wysokość strat, poniesionych przez skarb państwa, nie została jeszcze całkowicie ustalona.

Straszne spotkanie. Torem kolejowym między Moszczenicą a Piotrkowem wracało 6 uczniów, z których 15 letni Stanisław Pawełczyk, chcąc popisać się zręcznością przed kolegami. wskoczył na stopień jednego z wagonów jadącego pociągu. Skok był tak nieszczęśliwy, że chłopiec dostał się pod koła, które odcięły mu nogę. Koledzy Pawełczyka rozbiegli się, by wezwać pomocy. Tymczasem dziwnym zbiegiem okoliczności, tą samą drogą szła matka nieszczęśliwego ucznia, a widząc leżącego na torze chłopca, pospieszyła doń. Z największą rozpaczą poznawszy w przejechanym własnego syna, padła obok niego bez zmysłów. Zaalarmowani przez kolegów Pawełczyka mieszkańcy Moszczenicy, przybywszy na miejsce wypadku, znaleźli dwoje zemdlonych. Chłopca przewieziono do szpitala, gdzie wkrótce zakończył życie. Matce grozi obłęd. Umieszczono ją także w szpitalu.

Porwanie służącej w Łodzi. Niezwykłe poruszenie w Łodzi wywołało tajemnicze zniknięcie służącej pp. Osbach, niejakiej Fijałkowskiej Natalji, dziewczyny o nieprzeciętnej urodzie. W ostatnich dniach zajeżdżało powozem pod bramę domu, w którym mieszkała nadobna Natalcia, kilku młodych ludzi. Podobna do poprzednio zorganizowanych wycieczka odbyła się w ubiegły poniedziałek, z której dziewczyna więcej nie wróciła. Zachodzi podejrzenie, że Fijałkowska wpadła w ręce handlarzy żywym towarem.

Straszna śmierć rywali. Na torze kolejowym opodal Inowrocławia znaleziono zwłoki 18 letniego Stanisława Bardzińskiego i 21-letniego Ludwika Walenczewskiego. Zwłoki nosiły na sobie ślady szamotania się i walki. Obydwaj młodzieńcy kochali się w jednej dziewczynie. Wobec tego, że żaden z nich nie chciał zrezygnować z ubóstwianej, postanowili razem umrzeć i rzucili się pod pociąg.

Śmierć małżonków w płomieniach. Onegdaj powstał pożar w zabudowaniach rolnika Gąbskiego w Bełdzewie, pow. Toruńskiego, przyczem pastwą ognia padł wielki dom mieszkalny, w którym mieszkało 6 rodzin. Podczas ratowania dobytku, mieszkaniec Służka Stanisław wraz z żoną wszedł na I-sze piętro domu, gdzie oboje znaleźli śmierć w płomieniach. Zwłoki tragicznie zmarłych małżonków znaleziono w zgliszczach po ugaszeniu pożaru.

Nowa sekta religijna na Wołyniu. Na Wołynia wśród ludności prawosławnej szerzy się nowa sekta, od imienia jej założyciela Stefana Bochoniuka, zwana „Stefanowicze“. Nauka sekciarzy tych jest pomieszaniem poglądów sabatystów z ateizmem bolszewickim. „Stefanowicze“ odnoszą się wrogo do inteligencji, twierdząc, że tylko człowiek prosty, nieuczony jest w stanie zrozumieć pismo święte. Propagują anarchizm, wytępienie uczonych i rewolucję światową.

Ojciec dziadkiem własnej córki. Niesamowicie wprost przedstawiają się dzieje pewnego bogatego kupca, który przed laty wyemigrował do Londynu i tam się ożenił. W rok po ślubie wybuchł w domu jego groźny pożar, akurat w dniu urodzin pierwszego dziecka. Nieszczęśliwej matki nie zdołano już wynieść z ognia, tak, że znalazła straszną śmierć w płomieniach. Małą jej córeczkę natomiast uratował strażak niemal w momencie, kiedy runęło sklepienie, pokrywając wszystko morzem ognia. Ojciec, widząc to i będąc pewnym, że najdroższe mu istoty znalazły śmierć pod płonącem sklepieniem, odchodząc niemal od zmysłów, uciekł stąd i w parę dni potem wyjechał do swoich miejsc rodzinnych, gdzie oddał się pracy i znacznie pomnożył swój majątek. Po upływie kilkunastu lat sprzedał jednak wszystko i udał się z powrotem do Londynu. Tu w pewnym domu poznał panienkę, do której zapałał gorącą miłością. Nie wiele myśląc oświadczył się wkrótce i został przyjęty. Niebawem odbyło się wesele. Małżonkowie żyli bardzo szczęśliwie i wkrótce kupiec stał się ojcem ślicznej dziewczynki. Kiedy dziecku trzeba było nadać jakieś imię, kupiec zaproponował, aby nazwać ją Lizą.

— To tak, jak się nazywała moja matka, która zginęła w płomieniach — zauważyła młoda małżonka.

Kupiec stanął jak wryty.

— Jak się nazywała twoja matka? — zapytał nieśmiało.

Kiedy żona jego wymieniła nazwisko i imię, kupiec ze strasznym krzykiem runął zemdlony na ziemię. Następnie zapadł na zapalenie mózgu i cudem tylko uratowano go od śmierci. Okazało się, że wyratowane przed laty niemowlę, a więc jego własna córka, stała się przez straszliwy zbieg okoliczności jego żoną i matką jego dziecięcia. Kiedy przed laty wyniesiono ją z ognia, a ojca nie można było odszukać, zabrali ją krewni matki, którzy ją wychowali i opowiedzieli dzieje jej dzieciństwa. Kiedy po 10 latach zmarli, dziewczyna dostała się do zakładu wychowawczego, gdzie skończyła szkoły, poczem otrzymała posadę w banku. U właściciela tego banku poznał ją ojciec, nie widząc, że to jest jego własna córka. Kiedy młoda kobieta dowiedziała się o tem wszystkiem, skoczyła wraz dzieckiem do Tamizy i utonęła. Nie mógł tego przeboleć nieszczęśliwy ojciec i również popełnił samobójstwo. Wiadomość o tem przedostała się do krewnych kupca, żyjących na Wołyniu,

wywołując wśród nich łatwo zrozumiałe poruszenie, zwłaszcza, że kupiec pozostawił podobno wcale pokaźny majątek w Londynie.

Ażeby mieć piękny pogrzeb. Straszną śmiercią zginęła 10 letnia córeczka właściciela majątku Gross-Stenz pod Wrocławiem, Schneidera. W czasie nieobecności rodziców oblała się spirytusem, a następnie podpaliła ubranie zapałką. Po powrocie do domu rodzice znaleźli już tylko zwęglone zwłoki. Leżąca na stoliku karteczka wyjaśniła powód samobójstwa. Przed kilku dniami podczas pożaru domu zginęła w płomieniach przyjaciółka dziewczynki. W pogrzebie nieszczęśliwej, który wypadł okazale, wzięła udział ludność całego miasteczka. Od tej chwili dziewczynka nie zaznała już spokoju, marząc bezustannie o równie pięknym pogrzebie i o tem, by przez jeden dzień przynajmniej być na ustach wszystkich. Postanowiła więc również zginąć w płomieniach i czekała tylko na sposobność, która też niebawem się nasunęła. Strasznemi drogami chodzą niekiedy ambicje dziecka.

Zaklinacz djabła. Przed kilkoma tygodniami zjawił się w okolicach Kufstein w Tyrolu pewien nieznany tam jegomość, który podał się jako doktór filozofji Hans Braunmüller i nawiązawszy stosunki z miejscowymi obywatelami, zdołał im wmówić, iż na skutek rozmaitych praktyk jako drugi doktór Faust, czy nasz Twardowski posiadł moc zaklęcia djabła. Na tej drodze udało się owemu „psychoastrologowi" ponabierać moc naiwnych na najrozmaitsze sumy i niewiadomo, jak długo jeszcze żerowałby on na żyznej glebie nieśmiertelnej głupoty ludzkiej, gdyby nie wtrąciła się w to policja i nie ustaliła, że przybył on z Monachjum, gdzie figurował jako zwyczajny wyrobnik i miał na sumieniu cały szereg rabunków, włamań i innych przestępstw, za które kilkakrotnie odsiadywał już więzienie. Na tydzień przed zaaresztowaniem go w Kufstein wielki mag przyobiecał znakomitym obywatelom, iż ukaże im djabła w jego własnej osobie, aby ten za jego rozkazem powiększył pięciokrotnie gotówkę, z jaką każdy z obywateli stawi się na niezwykłą schadzkę. Jakoż o 12 o północy cała piątka zebrała się na pewnej podmiejskiej łące i Braunmüller wziął się do dzieła. Zakreślono magiczne koło i czarodziej zobowiązał pod groźbą śmierci całe swe audytorjum do zupełnego milczenia i do nieporuszania się pod żadnym pozorem. Po wzięciu tego solennego przyrzeczenia wywoływacz zapalił ognisko, w którego dymie obecni usłyszeli „głos belzebuba" wychodzący z ust psychoastrologa, którego ledwo widać było w kłębach gęstego dymu. Djabeł zażądał złożenia całej posiadanej przez czterech idjotów gotówki w ręce „doktora Braunmüllera" i wyraził gotowość pomnożenia jej pięciokrotnie. Jakże można było oprzeć się tak wspaniałej a jednocześnie prostej propozycji? To też cała czwórka bez słowa protestu przekazała do rąk maga całą posiadaną gotowiznę, ten zaś wziął od nich zaklęcie, że gdy nie pisną o tem nikomu ani jednego słowa, wówczas tylko otrzymają z powrotem swe tak cudownie pomnożone pieniądze. Jeden jednak z obywateli nie potrafił zachować tajemnicy i zdradził się z nią przed swą małżonką. Ta zaś zawiadomiła o wszystkiem żandarmerję, która natychmiast zaaresztowała Braunmüllera. Szybkie unieszkodliwienie oszusta dopomogło do częściowego odzyskania wyłudzonych pieniędzy.

Dobrzy rodzice. O nader ciekawej historji donoszą gazety hiszpańskie z prowincji Orense. Pewien hiszpański żołnierz został w roku 1921 wzięty przez Marokańczyków do niewoli. Po trzech latach udało mu się zabić strażnika i uciec. Na angielskim parowcu dostał się do Buenos Aires. Następnie przedostał się na Kubę, by połączyć się z Hiszpanką, która pomogła mu w Marokku do ucieczki. Z nią powrócił do Hiszpanji, ożenił się i zamieszkał u teściów. Zatęskniwszy za rodzicami, których tyle lat nie widział, wyjechał do Orense, lecz tu, o dziwo, rodzice w żaden sposób nie chcieli uznać go za syna, oskarżając w końcu o oszustwo. W trakcie dochodzenia wyszło na jaw, o co kochającym rodzicom chodziło. Mianowicie każdego pierwszego pobierali, pogrążeni w głębokim bólu, państwową zapomogę za zabitego syna w kwocie 25 pesetów. Nie chcąc zapomogi tej utracić, woleli wyrzec się syna!

Powódź we Francji. Wskutek huraganowych deszczów i burz rzeki na północy i północnym wschodzie Francji wystąpiły z brzegów. W Paryżu poziom Sekwany podniósł się o 55 cm. Na południe od Paryża powódź przybrała katastrofalny charakter. Zgórą 700 domów stoi pod wodą i musiało być opuszczonych przez mieszkańców. W okolicy Charleulle burza wyrządziła wielkie szkody. Dwie osoby zostały zabite przez pień upadającego drzewa. Również w pobliżu Niorte pewna kobieta zginęła w ten sposób. Koło Vaux burza zniszczyła znajdujący się w budowie most na rzece Yvonne, zaś w Montalgis w Loiret huragan spowodował niezwykle dotkliwe straty.

Tragiczne serce brylantowe. Od wielu lat żyje w Paryżu bogaty Turek, zupełnie zeuropeizowany, Leik Karaszi. Jest on obecnie, licząc już lat 59, ośrodkiem niezwykłej afery kryminalnej, budzącej w Paryżu wielkie poruszenie i zainteresowanie. Oto niedawno znaleziono w wytwornym pałacyku przy ul. Byrona martwą tancerkę, młodziutką i prześliczną Dorotę Terry. Służący, wszedłszy rano do buduaru pani, spostrzegł jej zimne zwłoki. Obok biednej dziewczyny leżał sztylet, którym zadano cios śmiertelny. Zrazu przypuszczano, że Dorota popełniła samobójstwo. Cóż jednak mogło skłonić do odebrania sobie życia dziewczynę piękną, młodą i pozostającą w dobrych warunkach materjalnych? Po dochodzeniach policyjnych okazało się, że padła ona ofiarą morderstwa, którego dokonał jej kochanek, Leik Karaszi. Turek wypierał się zrazu wszelkiej winy, wyrażał stanowczo przekonanie, że Dorota sama przebiła się sztyletem, wreszcia jednak — wobec oczywistych dowodów winy — przyznał się do wszystkiego. Straszliwy czyn popełnił z zazdrości. Poznał on Dorotę przed rokiem. Starał się pozyskać jej względy, lecz Dorota opierała się jego naleganiom. Wówczas Turek ofiarował jej olbrzymi brylant w postaci serca, przedstawiający wartość 500 tysięcy franków. Dar ten znęcił tancerkę, która została przyjaciółką starca i zamieszkała w kupionym dla niej pałacyku. Ale po pewnym czasie dowiedział się Turek, że Dorota zdradza go z pewnym pięknym młodzieńcem. Zapłonął żądzą zemsty i zdrajczynię zabił.

Kradzież nieboszczyków. Zakłady pogrzebowe w Anglji używają stale do przewożenia zmarłych automobilów. Otóż w tych dniach zdarzyło się w Londynie, że taki właśnie automobil pozostawiony został na chwilę bez opieki przed zakładem pogrzebowym, gdyż karawaniarze porozumiewali się z właścicielem przedsiębiorstwa. Kiedy obsługa karawanu-automobilu, po zdaniu raportu właścicielowi, powróciła na ulicę, spostrzegła z przerażeniem, że automobil wraz ze zwłokami dwojga ludzi zniknął bez śladu. Dalsze badania przekonały ich, że automobil stał się ofiarą grasujących bezustannie w Londynie złodziei automobilowych. Złodzieje ci najwidoczniej nie zauważyli zrazu, że w automobilu znajdują się trumny, a kiedy się spostrzegli, wyrzucili je do rowu, gdzie je następnie odnaleziono. Co się tyczy samego automobilu, to dopiero po 24 godzi-

nach odnaleziono go na drodze. Złodzieje zapewne użyli go do dokonania jakiej większej kradzieży, a gdy im już nie był potrzebny, pozostawili na drodze.

Bandytyzm w Rumunji. Gazety wiedeńskie donoszą z Bukaresztu: W ostatnich dniach wydarzyły się znowu zuchwałe napady bandytów. Na drodze koło Folticeni udało się czterem bandytom zatrzymać 9 automobili i 14 wozów i obrabować doszczętnie wszystkich podróżnych. Pomiędzy obrabowanymi znajduje się także kilka oficjalnych osobistości. Bandyci splądrowali na drodze koło Targowiste całą kolumnę wozów. W obu wypadkach wpadły w ręce bandytów znaczne sumy pieniężne, klejnoty i towary. W bezpośredniem sąsiedztwie Bukaresztu usiłowali uzbrojeni w karabiny zatrzymać automobil, w którym jechał poseł rumuński w Białogrodzie Filsdor, naczelny redaktor dziennika „Epoca", Filipescu i książę Sturda. Na rozkaz Filsdora, szofer nie usłuchawszy wezwania bandytów, ruszył z miejsca. Bandyci ostrzeliwali automobil, jednak bez skutku.

Śnieżyca na Białorusi sowieckiej. Z Wilna donoszą, iż na terenie Białorusi sowieckiej spadł wielki śnieg, oraz przeszła niezwykle silna burza śnieżna. Potężny wicher poprzewracał na całym odcinku kolejowym Niegorełoje - Mińsk przeszło 200 słupów telefonicznych i telegraficznych. Kilkanaście budynków strażniczych zostało zniszczonych przez nawałnicę. Tor kolejowy został całkowicie zasypany zwałami śniegu.

Trzęsienie ziemi w Japonji. Jak donoszą z Tokio, półwysep Izu został nawiedzony strasznem trzęsieniem ziemi. Najwięcej ucierpiały miejscowości: Miszima, Ito, Atami, Nagako i Numasu. Miejscowość klimatyczna Hakonenaczi, która dopiero w roku 1923 nawiedzona była katastrofalnem trzęsieniem ziemi, uległa ponownie zupełnemu zniszczeniu. Liczbę ofiar obliczają na kilkaset zabitych i ponad tysiąc rannych. Okolice nawiedzone katastrofą pozbawione są wszelkiej komunikacji. Wedle urzędowego komunikatu dotychczas ustalona liczba ofiar strasznego trzęsienia ziemi wynosi 187 zabitych i kilkuset rannych. Przypuszczalna liczba zabitych wynosi 500 osób. W wielu miejscach wybuchły groźne pożary. Istnieją obawy o losy miejscowości: Szusinszi, Ohito, Szimoda i Hakoni, z którymi zerwana jest wszelka komunikacja. W Atami powstał gejzer, który wyrzuca na znaczną wysokość wielki strumień wrzącej wody. Jak obserwatorjum donosi, główny wstrząs trwał blisko pół godziny.

Ludożerstwo w Chinach. Na miasto chińskie Hanoyu w zachodniej części prowincji Kiangsu napadli bandyci chińscy. Zamordowali dwa tysiące ludzi i spalili dwa tysiące domów. Straty, poniesione przez miasto, wynoszą przeszło 5 miljonów dolarów. Misja katolicka w Hong Kongu otrzymała listy, pisane przez zakonnice i księży, uwięzionych przez owych bandytów w mieście Kiangsu, z błaganiem o przysłanie wykupu, gdyż w przeciwnym razie grozi im okrutna śmierć. Bandyci żądają po 10 tysięcy dolarów za każdego z jeńców. Jednego z księży chińskich, nazwiskiem Feng, spotkała straszna śmierć. Bandyci, nie doczekawszy się w oznaczonym terminie okupu, ucięli mu głowę przed katedrą na placu publicznym, poczem serce jego zjedli w obecności innych jeńców. Pięć sióstr zakonnych i sześciu misjonarzy znajduje się jeszcze w rękach bandytów.

Podatek od dzieci i kotów. Miejskie władze w Szanghaju wprowadziły w życie nowy, oryginalny podatek. Oto każde dziecko ma być opodatkowane. Nowość ta wywołała gorący protest wśród kół rodzicielskich, narazie jednak bezskutecznie. Nietylko dzieci mają tam podlegać opodatkowaniu, lecz również i koty. Urzędnicy miejscy krążą od domu do domu w celu ściągania pieniędzy, w każdym bowiem domu znajdują się przedmioty, podlegające opodatkowaniu. Odruch protestacyjny mieszkańców Szanghaju przybrał tak znaczne rozmiary, iż sprawą tą musiał się zająć urząd skarbowy. 12-tu poborców podatkowych zostało aresztowanych, ponieważ nie mieli odpowiedniego upoważnienia do ściągania podatków a pobrane pieniądze chowali do własnej kieszeni.

Wybuch benzyny w cyrku. Jak donoszą z Meksyku, w pewnej miejscowości meksykańskiej wydarzył się w pewnym cyrku wybuch benzyny, wskutek czego 14 osób zostało zabitych i 16 rannych. Siła wybuchu była tak wielka, że rozbite zostały wagony, któremi cyrk do tej miejscowości zajechał, a dzikie zwierzęta, z rozbitych wagonów wydostały się na wolność.



Za zbiegłemi zwierzętami urządzono pościg, podczas którego 8 lwów zostało zastrzelonych. Kilka tygrysów i lampartów znajduje się jeszcze na wolności, budząc wśród ludności okolicznej zrozumiałą panikę.

Testament murzyńskiego miljonera. Gazety angielskie donoszą o niezwykłym testamencie murzyńskiego miljonera, który dorobił się olbrzymiego majątku na prowadzonym z powodzeniem handlu w angielskiej Nigerji. Jak się okazuje z tych artykułów, nietylko biali umieją używać życia i zdobytego majątku, bo murzyński miljoner stworzył sobie egzystencję prawdziwie rajską. Mieszkał w pałacu wyposażonym w najbardziej luksusowe urządzenia i wszelkie najnowsze wynalazki techniki, trzymał sobie znakomitych kucharzy i hołdował rozkoszom jadła i napoju, spożywanego w wesołem towarzystwie. Posiadał nadto cały harem żon pierwszej i drugiej klasy. Dzięki temu mógł, umierając, unieść do grobu pewność, że ród jego nie zaginie. Pozostawił nie mniej jak 42 legalnych dzieci, uprawnionych do spadku. Testament jego, jak wyżej wspomnieliśmy, nie był pozbawiony oryginalności. Zapisał bowiem swoim 7 żonom pierwszej klasy rentę miesięczną równającą się na naszą monetę około 5 tysięcy złotych. Małżonki drugiej klasy cenił widocznie nie o wiele niżej, ponieważ renta miesięczna każdej z nich jest zaledwie o 200 zł. niższa niż owych siedmiu uprzywilejowanych konkurentek. Mniej hojnym okazał się dla dzieci. Każdemu z nich bowiem polecił jedynie jednorazowo wypłacić ze swego majątku sumę, równającą się 20 tysięcy złotych dla chłopców, zaś 10 tysięcy złotych dla dziewcząt. Jeżeli zważymy, że dzieci tych jest 42, to wynosi to jednak ładną sumkę. Najciekawsze zarządzenie ostatniej woli miljonera polega na tem, że resztę majątku, oraz kapitał zarezerwowany na wypłatę dożywotnich rent dla opłakujących go kilkunastu małżonek, przeznaczył po ich śmierci na stypendja dla chłopców murzyńskich, poświęcających się handlowi.

RZECZY CIEKAWE.

Skąd pochodzi barwa włosów?

Kwestja zabarwienia włosów jest w nauce oddawna sprawą, wywołującą wielkie zainteresowanie. Badania mikroskopijne, prowadzone przez szereg lat, wykazują, że pojedynczy włos, który jest właściwie cieniutką, bardzo elastyczną rurką, wypełniony jest masą, spokrewnioną z pigmentem (barwnik skóry). Substancja ta — produkt białkowy — składająca się z komórek, nosi w nauce nazwę „Keratohyalin".

U blondynów i rudych substancja ta znajduje się w stanie płynnym, skutkiem czego pojedyncza, bezbarwna rurka włosowa staje się przeźroczysta lub przeświecająca, a więc mniej lub więcej jasną. Ciemne włosy zawierają tę samą substancję w stanie półstałym, bardziej skupionym, czarne zaś są gęsto wypełnione drobnemi ziarnkami.

Dlaczego tak jest, dlaczego ludzie mają różny kolor włosów — to pozostaje jeszcze kwestją nierozwiązaną przez naukę; dziś możemy tylko stwierdzić pewne fakty, o których właśnie mowa była wyżej.

Najciekawiej przedstawia się sprawa siwych włosów. W badaniu mikroskopijnem pojedynczy siwy włos przedstawia się jako częściowo tylko napełniona rurka; jest ona mniej lub więcej próżna. „Biały" włos jest w gruncie rzeczy bezbarwny; wydaje nam się białym wskutek przełamania promieni świetlnych przez puste rureczki włosowe. Kwestja, czy włosy siwieją stopniowo, czy też nagle skutkiem wstrząsień duchowych — jak to rzeczywiście ma czasami miejsce — w praktyce nie ma znaczenia; mikroskop w ostatnim wypadku wykazuje zupełnie te same zjawiska.

Jak objaśnić siwienie włosów? W starszym wieku część białych ciałek krwi degeneruje się i pochłania niektóre komórki naszego ciała. Pierwszą ofiarą tego procesu padają zazwyczaj komórki „keratohyalinu", czyli substancji, znajdującej się w rurkach włosowych. W ten sposób z biegiem czasu tracą one zupełnie swoją zawartość. Ponieważ proces ten jest prawdopodobnie skutkiem słabszej pracy narządów trawienia i spowodowanego przez to złego odżywiania całego ciała, — siwe włosy u młodych zdrowych ludzi są zjawiskiem bardzo rzadkiem.

Ciągłe krzyżowanie ras w Europie wywołać musiało nieograniczoną zmienność barwy włosów w społeczeństwach europejskich. Dziś klimat i dziedziczenie nie mogą być uważane za jedyne jego przyczyny. Dodać należy, że klimat również posiada pewien wpływ na barwę włosów. Wiadomo naprzykład, że od słońca włosy płowieją. Pierwotni ludzie jaskiniowi — jak wykazują badania, przeprowadzone w południowej Francji — mieli jasne włosy; przebywali widać dużo na powietrzu, polując na zwierzynę; światło i słońce wywarły pewien wpływ na kolor ich włosów. Podobnie zwierzęta jaskiniowe są jasne lub bezbarwne.

Muzeum pluskiew.

Bogate i na całym świecie znane „Muzeum Narodowe" w Budapeszcie słynie z dwóch olbrzymich sal, gdzie na widok publiczny wystawione są najrozmaitsze pokazy... pluskiew! W 16 wielkich witrynach szklanych umieszczono 18—20.000 najrzadszych egzemplarzy z najcenniejszych gatunków tych... „miłych" zwierzątek z całego świata.

Muzealna ta specjalność budzi podziw i zachwyt „znawców-kolekcjonistów!" Hymny pochwalne piszą w Ameryce na cześć twórcy tego najrzadszego zbioru dra Geza Horwatha, któremu udało się w ciągu lat trzydziestu, obok cudzych pluskiew azjatyckich i afrykańskich, zebrać sporo pokazów klasycznych z mieniących się tęczowo rodzin Ciguidów, przepięknych Tingitidów i skrzydlatych Orsiniadów! Naród korony św. Szczepana jest z tej cennej kolekcji muzealnej zarówno dumny, jak państwowe pinakoteki holenderskie ze swych bajecznych zbiorów rembrandtowskich czy arcydzieł Breughela...

1000 lat istnienia i 1500 skazanych redaktorów.

Jedyne swego rodzaju rekordy posiada wychodząca w dawnej stolicy Chin „Gazeta Pekińska". Szacowne to pismo śmiało pretendować może do miana najstarszego pisma na świecie. Chociaż bowiem dokładnej daty jego założenia nie da się obecnie ustalić, to jednak tysiąc lat istnieje ono niewątpliwie.

Drugim niezwykłym rekordem „Gazety Pekińskiej" są perypetje jej redaktorów, których oczywiście miała poczet wcale pokaźny. W ciągu swego tysiącletniego istnienia podlegała jednak „Gazeta Pekińska" niezliczoną ilość razy represjom administracyjnym, wśród których do najchętniej przez władze stosowanych należało ucinanie głów redaktorom. Otóż takich redaktorów miała „Gazeta Pekińska" conajmniej... 1500.

Nawet jak na tysiąc lat i na stosunki chińskie jest to jednak sporo.

Pożar miljonów.

Od palenia tytoniu wstrzymuje się dziś tylko asceta lub ten, nad którym zawisł surowy zakaz lekarski. Palą młodzi i starzy, palą kobiety i mężczyźni, palą skąpi i oszczędni. Jak wielka jest namiętność palenia tytoniu dowodzi statystyka zapotrzebowania papierosów. Bo w latach ostatnich papierosy wypierają powoli cygara.

Statystykę konsumcji papierosów dostarczyły dotychczas Stany Zjednoczone, państwa europejskie i Japonja. W roku 1913 państwa te spotrzebowały 62 miljardy papierosów. W roku 1916 cyfra ta skoczyła do 220 miljardów, wzrastając z każdym rokiem; obecnie sięga konsumcja 250 miljardów rocznie. Cygara nie dotrzymują kroku konsumcji papierosów. Owszem, z liczby 21 miljardów w roku 1913 spadło spożycie cygar w roku 1916 do 16.8 miljarda. Wzrost spożycia papierosów był rozmaity w różnych krajach.

W Stanach Zjednoczonych od roku 1913 do 1926 spożycie zwiększyło się sześciokrotnie, w Japonji czterokrotnie.

W krajach europejskich w tym samym czasie konsumcja wzrosła w dwójnasób albo też trzykrotnie. Najwięcej konsumuje się papierosów we Włoszech. W Anglji ilość wypalonych cygar spadła w tym okresie pięciokrotnie. Największymi spożywcami cygar są Ameryka i Niemcy.

Równie ważną rolę jak w życiu codziennem odgrywa tytoń w budżecie poszczególnych państw. W Ameryce dochód z podatku od tytoniu zajmuje zaraz drugie miejsce po podatku dochodowym, w Niemczech cyfra podatku z cygar i papierosów dosięgła cyfry 870 miljonów marek.

Spalanie takiej masy tytoniu można śmiało nazwać pożarem miljonów.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Na Hel", „Jurek", „Poświęcenie siostry Hildegardy", „Powołanie", „Jak to cygan umie się wyłgać", „Siostry rywalki", „Ufność Boża nie zawiedzie", „Zdradzony kochanek", „Tułacz", „Z niedalekiej przeszłości", „Szyderca", „Przygoda pijaka", „Bez targu", „Jak cesarz zniósł pańszczyznę", „Wigilja narzeczonego", „Historja kaplicy", „Poświęcenie", „Bajka o miłości", „Cel życia naszego", „Oddźwięk", „W wieczorną godzinę", „Jeszcze jedną", „Z choroby na rolę", „Spełnione marzenia", „Dla Ojczyzny", „Imieniny Mikołaja", „Wyrok cygana", „Zapóźno", „Królowa Beskidów i rycerz Giewont", „Za Ojczyznę", „Kumpany".

Pp. **Marja Wawrzykówna** w P.: W zapatrywaniach politycznych nie zgadzamy się z Panią. Rząd przy obecnych wyborach nie miał innego wyjścia: albo musiał przy użyciu wszelkich dopuszczalnych środków uzyskać dla siebie większość, albo pozostawić kraj na walkę partyj i partyjek, co przyniosłoby nam nieobliczalne szkody. Aby było w jakimkolwiek kraju dobrze, parlament musi posiadać zdecydowaną większość, bez względu na to, czy będzie ona nacjonalistyczna, czy socjalistyczna, czy centrowa, czy jakakolwiek inna. Jeżeli w parlamencie jest kilka, a nawet kilkanaście partyj, z których żadna nie ma większości, tam o jakichkolwiek spokojnych obradach niema mowy. Takie sejmy mieliśmy przez ubiegłe lata w Polsce, taki parlament ma Francja, mają Niemcy i inne kraje. Natomiast we Włoszech, i w Stanach Zjednoczonych rząd ma za sobą bezwzględną większość, to też może działać z korzyścią dla kraju. U nas obowiązkiem rządu było zwalczanie wszelkiego rodzaju zacietrzewieńców politycznych, a że wykonawcy zaleceń rządu tu i ówdzie dopuścili się nadużyć, to nadużycia te bezwzględnie potępić należy. — **K. Galik** w K.: W przykrej tej sprawie, o której nam Pan pisze, należałoby się zwrócić osobiście do władzy przełożonej, chociaż wątpimy, czy to co pomoże. Ale spróbować nie zawadzi. — **Staszek** z B.: Niestety, tak wierszyki, jak i opowiadanie o Jędrku za słabe do druku. — **Wielki Książę Mikołajewicz** w Z.: Kaśka za życzenia otrzymane od tak Czcigodnej osoby serdecznie dziękuje. Podarunkiem tak ona, jak i Maciek ucieszyli się bardzo. — **Jan Smaza** w Z.: Wierszyk zupełnie dobry, o ile miejsce pozwoli, zamieścimy go w numerze świątecznym. — **Stanisław Słomka** w S.: Nadesłany nam utwór p. t. „Czas wszystko skończy" dość dobrze napisany, ale nieco zadługi dla „Roli". Zachowamy go jednak, może kiedy znajdzie się miejsce. Termin nadsyłania prac na konkurs upłynął już z dniem 1 b. m. — **L. L. z Sanoka:** Wierszyki dobre, wydrukujemy je w miarę miejsca. — **„Sep-Płowy":** Zagadki dobre, lecz mamy ich tak dużo, że niewiadomo, kiedy będą drukowane. — **Jacek Orlik** w L.: „Strzaskana bałałajka" dobra, tylko troszeczkę zadługa; będziemy ją musieli podzielić na dwa numery. — **Eugenjusz Zdun** w K.: Ocenę wszystkich prac konkursowych podamy razem. Wszystkie numera od początku roku aż do niniejszego kosztują 10 zł. 80 gr., a można je nabyć w Administracji „Roli". — **Jan Gorzołka** w J.: Prenumeratę ma Pan zapłaconą do końca marca 1931. Numera okazowe dla jednania prenumeratorów posłaliśmy Panu w ubiegłym tygodniu. Cieszy nas obiecanka, i polecamy się, dziękując zgóry za przysługę. — **Zagórski Ludwik** w B. G.: Do przesłanego numeru 40 dołączyliśmy kilka czeków i prosimy o pamięć. — **I. Sojka** w D.: Z tego powodu, że wysyłając kalendarz musimy opłacić 50 gr., a w większej przesyłce wyniesie 5 lub 10 groszy. — **Drąg Józef** w R.: Zaległe numera minęły się z listem w drodze. — **Miecislav Romanescu** z K.: Podajemy dwóch: p. Lipiński Edward, Romania, Bukovina, Cernouti, Clocucica Nr. 303 i p. Mayko Kazimierz, Romania, Bukovina, Jucica Veche L. 737. Słownik polsko-rumuński też można dostać. Jeżeliby księgarnia w Krakowie nie miała, to sprowadzi dla Pana z Warszawy. — **Tekieli Karol** w R.: Za piękne słowa uznania dla „Roli" bardzo dziękujemy. Są one, jak i wiele innych, które często otrzymujemy, zachętą do dalszej pracy nad udoskonaleniem „Roli". Załączamy pozdrowienia.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Szarża wojskowa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wiedza inaczej.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Płód ptasi.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj kaszy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie (zdrob.).
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Siostrzeniec.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Należy do nabiału.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Pal inaczej.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Izba szkolna.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Część buta.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Część bluzy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Egipcie.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety z XIX wieku.

2. Szarady literowe.

I.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

Kto pierwsze drugie cierpliwość,
Niech rozwiąże to zadanie!
Nie powiem trzy cztery na złość,
Szaradzistko! Więc kuj zdanie,
I sześć drugie pierwsze główkę!
Pięć! całość, to często w „Roli"
Rozwiązuje łamigłówkę
I też się nad nią mozoli...

II.

Czwarta i piąta szarada
Trudu ci pewno nie zada,
Bo kto tylko pisze wiersze
Ten zajmie tu miejsce pierwsze.
A zaś pierwszy drugi trzeci,
Anglik, co pisał powieści,
Jego książki czytasz nieraz —
No, to całość zgadniesz teraz!..

III.

Że cały ojczyzny broni,
Nikt mi mówić nie zabroni,
Bo, trzy cztery pięć już wiecie,
Pierwsze [illegible] jej obronie życie
Chętnie odda Polak prawy!
Dwa trzy! nie są to zabawy,
Kiedy idzie na bój krwawy,
Żołnierz, dla ojczystej sprawy!

3. Logogryf.

(Ułożył St. Pawłasek z F.

■ ☆ ☆ ☆ ■ Ochrona okna.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Statek wodny.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Gatunek wina.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Owoce dzikie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Zwierzę domowe.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Żal do kogoś.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Mieszkaniec gór wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Lekarstwo.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Środek kuli ziemskiej.

Początkowe litery, czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry, dadzą dwie postaci z niedawno drukowanej powieści w „Roli".

4. Zagadka.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Wprost w gospodarstwach, sklepach używany,
Wstecz przez pijaków niechętnie widziany.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 12 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 47 „Roli": 1. Logogryf: Władysław Orkan. 2. Szarady: I. Polonez. II. Pomidory. 3. Szarada literowa: Miasto. 4. Rebus bez obrazków: Bez ochoty niespore roboty. 5. Układanki: Damazy-Kosma-Ewaryst.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Jan Matuszkiewicz z G., Piotr Glica z S. G., Józef Górecki z K., Jan Smaza z Z., Henryk Biłka-Głębicki z S., Ludwik Lisowski z S., Wł. Sowiźrał z J., M. Romanescu z K., Ignacy Sojka z D., Jan Gara z W., Jan Oźóg z Rz., Józef Tondera z Rz., I. Cholewa z D., Władysław Gąsienica z Z., Jan Wojtach z K., Józef Cieplik z K., Czesław Pawłasek z F., Bolesław Karczmarczyk z N., Alojzy Kluger z R., Stanisław Pawłasek z F., Zofja Jarolimowa z D., Józef Topolski z B., Stefanja Smagowiczowa z K..

Nagrody wylosowali pp.: Jan Wojtach z K. i Alojzy Kluger z R.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Trefny wóz.

— Proszę was, weźcie mnie na wóz chociaż z tyłu.

— Jak chcesz, żydzie; ale drabiny są słoniną posmarowane.

— Ny, jak tak, to jedźcie z Bogiem, a ja pójdę piechotą.

Słuszna przyczyna.

— Choć grosik, litościwa osobo!

— Macie, ale czy nie możecie pracować?

— Módz tobym co prawda mógł, proszę wielmożnej pani, ale na chęci mi zbywa.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 21 listopada b. r.

Pszenica	28·00—28·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto	20·50—21·00	Ziemniaki stoł.	5·50—6·00
Owies	21·00—21·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	20·00—20·50		
Fasolabiała	45·00—47·00	Mąka żytnia	36·00—37·00
Groch zwyk.	30·00—35·00	Mąka pszen.	56·00—57·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	14·00—00·00
Łubin żółty	25·00—26·00	Otręby żytnie	13·00—00·00
Koniczpastew.	14·00—15·00	Mąka czerw.	16·50—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 21 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 0·90 do 1·28 zł.	Jałownik	od 0·85 do 1·24 zł.
Woły	od 0·85 do 1·35 zł.	Cielęta	od 1·90 do 1·98 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·15 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·62 do 2·05 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·90 do 2.40

Nie dał sobie zaimponować.

— Mój dziadek umarł mając lat 90, przechwalał się jeden.

— Moja babka umarła w setnym roku życia, odpowiada drugi.

— A w mojej rodzinie są tacy, którzy dotąd żyją! — zawołał tryumfująco trzeci.

Adwokat Dr. D. Bulwa

Kraków, Grodzka 49 II. piętro powrócił i urzęduje jak dawniej.

Znakomite płótna

na wszelkie bielizny, także stołowe i pościelowe, białe i kolorowe. — Silne materje, cajg, struks. — Dymki, ręczniki, chusteczki, ścierki, sienniki, drelichy, leżaki, chodniki i t. p. wyroby po cenach konkurencyjnych poleca: **L. JÓRASZ, Przemysł Tkacki, KORCZYNA, pow. Krosno.**



Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. — Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków, Szewska 2.

Wszelkiej porady przy zakładaniu i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela bezpłatnie, za nadesłaniem znaczka pocztowego.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Okładki na „Rolę“ na r. 1930 są gotowe

po nadesłaniu 2·20 zł. wysyłamy. Są też okładki 1927, 1928 i 29.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

BŁYSK



NAJLEPSZA

BATERJA

Żądać wszędzie.

TĘCZA KRAKÓW, Skrytka 345.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.
oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Nie marnować owocu! Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża) n. p. Tokaj, Malagę, reńskie, stołowe i t. p.

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.
Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, ul. św. Tomasza 22.

(Tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Sprzedam kilka morgów ziemi uprawnej w okolicy klimatycznej nadających się pod budowę. Stacja kolejowa w miejscu. Zgłoszenia do Adminisiracjii »Rol«.

Przyjmuje się wszelkie roboty w zakres hafciarstwa wchodzące po cenach bardzo niskich. Robota solidna i sumienna. Adres: **Sklep Kółka Rolniczego w Żarnówce** poczta Maków.